DODATEK ŚWIĄTECZNY do GAZETKI OBOZOWEJ
Nr 8



BÜREN a/A 1941

D R O D Z Y   C Z Y T E L N I C Y !

Zarządzeniem terytorialnych władz szwajcarskich zostało zawieszone dalsze wydawanie "Gazetki Obozowej" z dniem 1-go kwietnia 1941 roku.

Przez okres trzech miesięcy przeżywaliśmy razem nie jedną dolę dni internowania i dzieliliśmy wspólnie troski i kłopoty, jakie dała wojna.

W bezinteresownej pracy dla Was, pokonywaliśmy wiele trudności, ale też wkładaliśmy w tę pracę najwięcej dobrej woli poto, ażeby Gazetka była Wam wiernym przyjacielem, który rozumie najlepiej i życzy najserdeczniej.

Tak samo i dzisiaj - oddając dodatek świąteczny ostatniego numeru Gazetki - życzymy Wam, ażeby cudowna moc wiary złączyła nasze serca i pozwoliła mężnie przetrwać zrządzenia żołnierskiego losu. Życzymy naszym rodzinom, ażeby mogły jaknajprędzej powitać nas , aby w braterskiej zgodzie podjąć znowu pracę dla własnego szczęścia.-

R e d a k c j a

DRODZY CZYTELNICY!

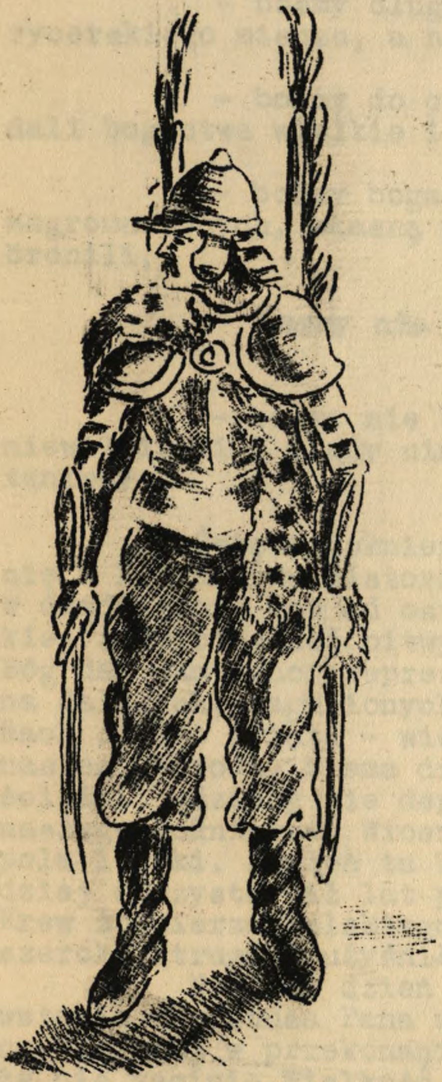
Zarządzeniem terytorialnych władz [illegible], zawieszone dalsze wydawanie "Gazetki Obozowej" z dniem 1-go kwietnia 1941 roku.

Przez okres trzech miesięcy przetrwaliśmy razem dla jednej [illegible] dni internowania i dzieliliśmy wspólnie troski i [illegible] daje wojna.

W bezinteresownej pracy dla Was, pokonywaliśmy wiele trudności, ale też znajdowaliśmy w tej pracy najwyższą nagrodę [illegible] poto, aby Gazetka była Wam [illegible], który rozumie najlepiej i był najserdeczniej.

Tak samo i dalej - [illegible] ostatni [illegible] numeru Gazetki - [illegible] naszego [illegible] i [illegible] losu. [illegible] jako [illegible] - [illegible]

PATRZEĆ MOŻEMY HISTORII PROSTO W TWARZ.



Twarde były prawa wiążące duszę i rękę tego, co chciał miecz swój rycerskim zachować. Uczyły go prawdy, że są dobra wyższe ponad życie, korzyści i wygodę - dobra, dla których życie oddać nie jest zasługą lub ofiarą, a prostym, twardym obowiązkiem.

Wielkie narody, wielkie idee wyrębywały sobie drogę mieczem. Na straży największych zdobyczy i skarbów świata - stał miecz. Poczucie siły, męskości i honoru wynieśliśmy wszyscy z walki, a nie z uległości. Złota legende rycerską ostrze pisało, a nie gęsie pióro. Za osłoną tego ostrza, narastały we wszystkich narodach wartości moralne i kulturalne, formowały się społeczeństwa, utwierdzały prawa, rozwijała się nauka i sztuka.

Na wzgórzach, gdzie teraz rozciągnęły się namioty naszej Brygady Karpackiej walczącej na froncie afrykańskim, przed dwoma tysiącami lat, to samo słońce, które dzisiaj załamuje się w bagnecie polskiego żołnierza, odbijało się w krótkim mieczu i tarczy rzymskiego legionisty, stojącego na straży Wielkiego Imperium.

W tysiąc kilkaset lat później, te same pagórki, które dzisiaj depcze nogą polskiego strzelca - deptała zbrojna, okuta w stal stopa krzyżowca. Zakony Templariuszy stały na straży Grobu Zbawiciela i najwyższych ideałów świata w symbolu Grobu tego zawartych.

W szeregach krzyżowców zebrał się wtedy kwiat rycerstwa chrzescijańskiego, duma wszystkich wielkich państw katolickich. Dźwięczał tam i polski miecz, dźwięczała polska mowa. Siedemset lat temu polski żołnierz niósł znak nasz wysoko nad Ziemią Świętą.

Jakże daleki byłeś polski żołnierzu od rownin leśnych i pól oranych, wielkiej i szczęśliwej ziemi polskiej - od naszych łąk, naszych rzek - od białych dworków i chat krytych strzechą!

Byłeś żołnierzu wtedy symbolem, sztandarem Twojego Narodu i Twojej idei. Byłeś wielki nie liczbą, a poczuciem swego obowiązku, pisałeś nową kartę żołnierskiej chwały - w przeświadczeniu, że dobra moralne honoru i obowiązku są nierównie wyższe jak pieniądz i siła materialna.

Po ziemi, ktora kryje Grób Chrystusa Pana, chodzi żołnierz polski. Jest on tam symbolem, sztandarem nieśmiertelnej wielkości naszej Wiary i naszego Narodu!

Historii, po której śladach chodzimy, możemy patrzeć prosto w twarz,

- bośmy zawsze byli narodem rycerzy, a nie narodem rozbójników,

- bośmy najwyższe wartości W i a r y, H o n o r u i O j c z y z n y , w ciągu całych naszych dziejów, cenili wyżej stokroć, niż życie,

- bośmy długość drogi naszej w historii mierzyli klingą rycerskiego miecza, a nie łokciem kupca,

- bośmy do ogólnego skarbca kultury, nauki, sztuki i postępu dali bogactwa wielkie i niezniszczalne,

- bośmy bogactw tych we wszystkich narodach kulturalnych nagromadzonych, własną piersią i krwią w ciągu wieków od barbarzyństwa bronili,

- bośmy nie poznali i nie wiemy co oznacza słowo "kapitulacja"

- bośmy nie byli nigdy niewolnikami i nigdy nimi nie zostaniemy.



Święta żołnierza wyznacza się w kalendarzu historii - bitwami. W dwadzieścia lat od ostatniej wielkiej i zwycięskiej bitwy naszej, Bóg dał nam honor reprezentowania na dalekich, zagubionych posterunkach całego świata - wielkości naszego Narodu. Niema drogi, niema ścieżki, gdzieby nie deptała noga naszego żołnierza. Wiosna zazieleni pola i łąki. Zieleń ta będzie bardziej soczysta niż lat poprzednich. Krew żołnierza polskiego spłynęła szeroką strugą i użyźniła ziemię.

Niechaj dzień Zmartwychwstania Chrystusa Pana utwierdzi nas dzisiaj w przekonaniu i wierze, że nie zaginie Wielkość naszego Narodu, którego wartości i rycerską tradycję na wolnej ziemi szwajcarskiej reprezentujemy.

Kiedyś, gdy rodziny nasze witać będą nasz powrot do domów i Ojczyzny - widzieć w nas będą też i tych, którzy pisali kartę historii nieśmiertelnej POLSKI!

Poznajemy Szwajcarię

Szwajcaria jest zorganizowana i rządzona na zasadach Konstytucji z dnia 29 maja 1874 roku, jako wolne państwo związkowe, w skład którego wchodzi 19 kantonow i 6 polkantonow. (Razem 25 kantonów)

Zgromadzenie Narodowe (Bundesversamelung) wybiera rząd na cztery lata. Rząd ten składa się z 7 ministrów, którzy zarządzają nast. departamentami: spraw wewnętrznych, sprawiedliwości i bezpieczeństwa, spraw wojskowych, finansów, gospodarki społecznej, poczty i kolei oraz polityki zagranicznej.

Reprezentantem państwa jest prezydent, którego - co roku, w grudniu - wybierają z pośród siebie ministrowie. Siedzibą prezydenta i rządu jest miasto Bern, które też uważane jest za stolicę Szwajcarii.

Poszczególne kantony Szwajcarii rządzą się samodzielnie przez własne zgromadzenia kantonalne, za wyjątkiem spraw wojskowych i zagranicznych. Czynne prawo wyborcze posiadają tylko mężczyźni po ukończeniu 20 roku życia.

Konstytucja może być zmieniona tylko w drodze plebiscytu, natomiast projekt zmiany Konstytucji może być wniesiony przez 50.000 obywateli, co zobowiązuje rząd do przeprowadzenia plebiscytu nad zgłoszoną zmianą. Dla zgłoszenia projektu zmiany prawa państwowego wystarcza 30.000 podpisów obywateli uprawnionych do głosowania, albo też podpisy 8-miu rzadów kantonalnych.

Siła zbrojną Szwajcarii stanowi milicja, która przysposabia do obrony kraju wszystkich mężczyzn w wieku od 20 do 48 roku życia. Niezdolni do służby wojskowej muszą placić specjalny podatek wojskowy. Zawodowymi wojskowymi mogą być tylko oficerowie - instruktorzy i najwyżsi dowódcy, którzy podlegają ministrowi spraw wojskowych. W wypadku groźby wojny, zgromadzenie narodowe wyznacza naczelnego wodza w randze generała na okres mobilizacji i dla prowadzenia wojny. Obecnie wodzem naczelnym armii szwajcarskiej jest gen. Henri Guisan.-

Die Schweiz ist nach der Verfassung vom 29. Mai 1874 ein Bundesstaat von 25 Kantonen -19 Voll- und 6 Halbkantone-.

Der Bundesrat (die Regierung) wird von der Bundesversammlung jeweils für 4 Jahre gewählt. Er besteht aus 7 Mitgliedern, die sich in der Leitung der Bundesverwaltung teilen: Inneres, Justiz und Polizei, Militär, Finanzen, Volkswirtschaft, Post und Eisenbahn, sowie Politisches Departement. An der Spitze des Staates steht der Bundespräsident, der jährlich im Dezember aus der Mitte des Bundesrates ebenfalls von der Bundesversammlung gewählt wird. Nach aussen wird die Eidgenossenschaft vom Bundespräsidenten vertreten. Der Sitz des Bundespräsidenten, sowie sämtlicher Ministerien ist die Bundeshauptstadt Bern.

In Kantonsangelegenheiten üben die Kantonsorgane selbst Gesetzgebung aus; jeder dieser Kantone hat seine eigene Volksvertretung. Das Wahlrecht beginnt in der Regel mit dem 20. Lebensjahr.

Für Aenderung der Verfassung steht dem Volke ein Initiativrecht (Volksbegehren) zu; dieses Volksbegehren muss von mindestens 50.000 Bürgern beantragt sein. -30.000 Bürger oder acht Kantone können Volksentscheide (Referendum) für Aenderungen von Bundesgesetzen verlangen.

Das schweizerische Bundesheer ist ein Milizheer mit allgemeiner Wehrpflicht vom 20.-48. Lebensjahr, für Offiziere länger. Für Untaugliche besteht an Stelle der Militärdienst- eine Militärsteuerpflicht. Berufssoldaten sind nur die höchsten Truppenführer und die Instruktoren (Offiziere). Bei Kriegsgefahr ernennt die Bundesversammlung einen General, der für die Dauer der Mobilmachung den Oberbefehl führt. Gegenwärtig leitet die Geschicke der Schweizer Armee General Henri Guisan.

Szwajcaria jest zorganizowana i rządzona na zasadach Konstytucji z dnia 29 maja 1874 roku, jako wolne państwo związkowe, w skład którego wchodzi 19 kantonów i 6 półkantonów (razem 25 kantonów).

Zgromadzenie Narodowe (Bundesversammlung) wybiera rząd na okres 4 lata. Rząd ten składa się z 7 ministrów, którzy zarządzają następującymi departamentami: spraw wewnętrznych, sprawiedliwości i bezpieczeństwa, spraw wojskowych, finansów, gospodarki społecznej, poczty i kolei oraz polityki zagranicznej.

Reprezentantem państwa jest prezydent, którego - co roku, w grudniu - wybiera się z pośród siedmiu ministrów. Siedzibą prezydenta i rządu jest miasto Berno, które też uważane jest za stolicę Szwajcarii.

Poszczególne kantony Szwajcarii rządzą się samodzielnie przez własne zgromadzenia kantonalne, za wyjątkiem spraw wojskowych i zagranicznych. Czynne prawo wyborcze posiadają tylko mężczyźni po ukończeniu 20-go roku życia.

Konstytucja może być zmieniona tylko w drodze plebiscytu, natomiast projekt zmiany Konstytucji może być wniesiony przez 50.000 obywateli, co zobowiązuje rząd do przeprowadzenia plebiscytu nad zgłoszoną zmianą. Dla zgłoszenia projektu zmiany prawa ustawowego wystarczy 30.000 podpisów obywateli uprawnionych do głosowania, albo też podpisy 8-miu rządów kantonalnych.

Siłę zbrojną Szwajcarii stanowi milicja, która przymusza do obrony kraju wszystkich mężczyzn w wieku od 20 do 48 roku życia. Niezdolni do służby wojskowej muszą płacić specjalny podatek wojskowy. Zawodowymi wojskowymi mogą być tylko oficerowie - instruktorzy i najwyżsi dowódcy, którzy podlegają ministrowi spraw wojskowych. W wypadku groźby wojny, Zgromadzenie Narodowe wyznacza naczelnego wodza w randze generała na czas mobilizacji i dla prowadzenia wojny. Obecnie wodzem naczelnym armii szwajcarskiej jest generał Guisan.

Die Schweiz ist nach der Verfassung vom 29. Mai 1874 ein Bundesstaat von 25 Kantonen-19 Voll- und 6 Halbkantone-.

Der Bundesrat(die Regierung)wird von der Bundesversammlung jeweils für 4 Jahre gewählt. Er besteht aus 7 Mitgliedern, die sich in der Leitung der Bundesverwaltung teilen: Inneres, Justiz und Polizei, Militär, Finanzen, Volkswirtschaft, Post und Eisenbahn, sowie Politisches Departement. An der Spitze des Staates steht der Bundespräsident, der jährlich im Dezember aus der Mitte des Bundesrates ebenfalls von der Bundesversammlung gewählt wird. Nach aussen wird die Eidgenossenschaft vom Bundespräsidenten vertreten. Der Sitz des Bundespräsidenten, sowie sämtlicher Ministerien ist die Bundeshauptstadt Bern.

In Kantonsangelegenheiten üben die Kantonsorgane selbst Gesetzgebung aus; jeder dieser Kantone hat seine eigene Volksvertretung. Das Wahlrecht beginnt in der Regel mit dem 20. Lebensjahr.

Für Änderung der Verfassung steht dem Volke ein Initiativrecht(Volksbegehren) zu; dieses Volksbegehren muss von mindestens 50.000 Bürgern beantragt sein. 30.000 Bürger oder acht Kantone können Volksentscheide (Referendum) für Änderungen von Bundesgesetzen verlangen.

Das schweizerische Bundesheer ist ein Milizheer mit allgemeiner Wehrpflicht vom 20.-48. Lebensjahr, für Offiziere länger. Für Untaugliche besteht an Stelle der Militärdienst- eine Militärsteuerpflicht. Berufssoldaten sind nur die höchsten Truppenführer und die Instruktoren(Offiziere). Bei Kriegsgefahr ernennt die Bundesversammlung einen General, der für die Dauer der Mobilmachung den Oberbefehl führt. Gegenwärtig leitet die Geschicke der Schweizer Armee General Henri Guisan.


Obwalden 1291
Nidwalden 1291
Ticino 1803
Thurgau 1803
Neuchatel 1815
Uri 1291
Schwyz 1291
Aargau 1803
Valais 1815
Geneve 1815
Luzern 1332
Zurich 1351
Basel-Land 1501
Vaud 1803
LIBERTE ET PATRIE
Graubünden 1803
Zug 1352
Bern 1353
St. Gallen 1803
Glarus 1352
Fribourg 1481
Solothurn 1481
Basel-Stadt 1501
Schauffhausen 1501
Appenzell-Jr. 1513
V R
Appenzell-Ar. 1513
SUISSE
STACHON E. 1941

Gawędzimy.

- Józek! czy ty wiesz, że to już Święta nadchodzą?

- I ty myślisz, że mógłbym o tem zapomnieć? Ale przykro przecież. Bywało inaczej... Palmowa Niedziela! - a tu nigdzie palmy nie widzisz. Dawniej szło się do kościoła oglądać groby i poświęcone palmy przynosiłeś do domu. Był post i spowiedź Wielkanocna. Tak, tak! - znało się wtedy zwyczaje, żyło się jak człowiek i czuło się człowiekiem. A dzisiaj?...

- A czy teraz jest ci źle, nie masz co jeść, gdzie spać?

- Jakto? - pytasz jeszcze? Przecież ten Wielki Post dla nas trwa już tak długo. Na głowy nasze sypał się popiół spalonych domów, odebrano lub pomordowano nasze rodziny, zrabowano nasz dom i naszą ziemię... Przestało nam słońce świecić!... Oj. trudno to wszystko przetrzymać ! Ale wytrwać trzeba i wytrwamy! Kościół naucza o Zmartwychwstałym Chrystusie. Wrogowie sądzili, że z chwilą Jego śmierci wszyscy o Nim zapomną. Nie wierzyli temu, co powiedział Chrystus Pan: "Jam jest Zmartwychwstanie i Żywot: kto we mnie wierzy - żyć będzie na wieki!"

Wiesz przecież o tem, co się później stało. Chrystus zmartwychwstał na trzeci dzień i dodał przez to otuchy wątpiącym, a wiarę w słabszych utwierdził. Bądźmy i my teraz ufni w Opatrzność i wierzmy, że w tym roku Wielkanoc stanowi dla nas wszystkich zapowiedź i symbol zmartwychwstania pogrzebanych marzeń i splugawionych ideałów. To lepsze jutro napewno nadejdzie, ale i my sami musimy stać się godnymi tego. Stać się musimy lepsi i w samych sobie odnaleść musimy spokój, harmonię i jedność. A nic tak bardzo nie przywraca spokoju, jak skontrolowanie siebie samego i ocena własnych wartości, znalezienie win własnych. Spokój ten osiągnać możemy przez Św. spowiedź wielkanocną.

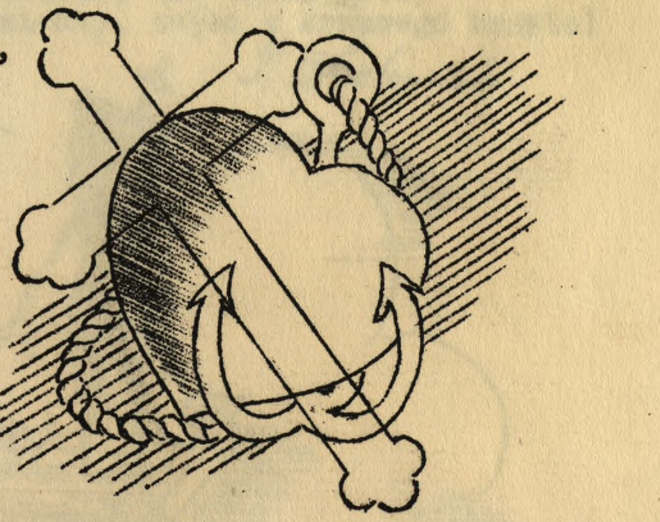
- Józek, bój się Boga, przecież prawisz kazanie i to tak poważne, że pokpić z ciebie nie mogę. Ale mnie to tam nie potrzebujesz nawracać i po próżnicy tylko strzępisz sobie gębę. Muszę ci powiedzieć, że byłem już u spowiedzi. Nie chciałem ci tylko o tem gadać, żebyś nie pomyślał, żeś mnie przekonał.

- To dobrze Franku, ale przecież to ty sam przekonałeś się, gdzie można znaleść siłę i spokój ducha.

Ale tym razem ubiegłeś mnie, muszę się też spieszyć, żeby zdążyć jeszcze przed Mszą Św., bo to już najwyższy czas i mnie pójść w twoje ślady.

Zaraz po kościele polecę na dworzec, to jeszcze zdążę cię pożegnać. Tymczasem servus!

- Czołem Józek!



P a w e ł.

Szanownemu Panu
Dr Stutkowskiemu na pamiątkę wielkanocy spędzonej wspólnie za drutami obozu Büren na internowaniu w Szwajcarii, autor Szelewicki

Szwajcaria
1941 r.
Wielkanoc

Wielkanoc na obczyźnie



Resurekcja, organy, mrowie głów ogromne...
Procesja, ksiądz staruszek, baldachim złocony,
Widzę to dziś jak żywe, nigdy nie zapomnę
Lud śpiewa, na dzwonnicach echem grają dzwony...

Pamiętam dom rodzinny, ach! jakże wesoło!
Bielutenkim obrusem kryty stół dębowy,
Roześmiane rodzeństwo obsiadło wokoło
Patrząc jak skrzy się srebrem baranek cukrowy.

Pisanki kolorowe barwami się mienią,
Słońce rzuca snop jasny przez szyby okienne
A wśród struclí, mazurków, przybrane zielenią
Rozsiadły się poważnie wielkie baby pszenne.

Widzę dziś twarze bliskich smutne, zatroskane,
Stos wspomnień spopielałych, przede mną się ściele
W bratnim, szczerym uścisku dłonie spracowane
Wyciągam ku nim wszystkim w tą Wielką Niedzielę.

Ślę im mych życzeń słowa, co płaczą tęsknotą,
Nadzieja w lepsze jutro, kres męki się zbliża...
Cierpieć trzeba w pokorze, ale tylko poto,
By jak Chrystus na ziemię, zejść z krwawego krzyża!

P. Szelewicki



JAK JAŚ W WIELKANOC ŚWIENTYK KUPOWOŁ.



Śli chłopy i baby, we wtóry dzień świontków na odpust w Ludzimierz. Stryk beł coś rzodki, jechać nie fcioł, bo mu z babami nie koponio beła, to tez peda do Jasia: - ej, chłopce! kielo my roków rozem chadzowali w Ludzimierz? Miły Boże, a teraz idzies som.

- No to sie ta zabierzta ze mnom stryku.
- Co, kie juz nie poradzem iść.
- To ja byk cie piknie pytoł, kiegozci stryku goscieńca psynieść mom.
- Chłopce, to mi na tem odpuście świetyk kupis dziewienci. Ty ik wybies, jak uwazas. Byk kazdy dzień, bez dziewińć dni, na kazdy dzień do innego świetego sie upytoł, co by mnie popuściło, a kie juz ma beć koniec ze mnom, co by beł pomalućku. Kupcom tam Nowotarzany takimi świetymi, po dziesinc groszów śtuka, to mi jeich kupcie. Mas chlopce haw złotka, to sie ci dziesińć groszów zwyssy. A mozem ta i Nowotarzany popuscom, kie ich telo tyk świentych naraz kupis.

- Hale! popuścilyby ci te sprycárze! Psio krwie! Duse by se wyjeni za jeden gros. Kiek roz bicyskó w mieście kupcył, to sie taki mont zrobieł, ze jaze siandary przileciały. Wybrółek se bicysko, fajne u taki miescanki - kielo zanie? Ta gworzi, ze trza dać pół złotka. Jo jei na to: - ej, diobli ci groli, heba bez to w dubelt licys, boś psiokrwio zezowato! Giewołt straśny narobiła i mnie tym bicyskiem w kufe fukła, a ja jei za włosy fcioł przitrzymieć, ale - patsajcie stryku - ze mnie cała jei cupryna w rencach została, bo nie jei beły włosy, tylko peruka. No, beł mont! Ale tyk świentyk to wom stryku kupiem dziwienci. Moze tam i co popuscom, ino ze psy kościele montu robić nie fajnie.

Co sie nie robi, kie sie Jaś z odpustu obrócił. Mioł tyk świentych ino pienci, a cworo hybiało.

- No, kaz ci swienci - gworzi stryek.
- Ej, juz wiem, ka sie bestyje stracili. Kiek ik w turbkie wbił, za małom kwile, wzieni sie tam harkać. Gwarzem ku nim: - cicho świenci. Dyć psecie porzondek musi beć. A one nic, tylko harkajom sie i kie do dom seł, to tych pienci tamtyk ćtyrok zjadło. Haj!
- A u zidaś, w karczmie beł?
- Co byk nie mioł beć, dyć przecie świnta i odpust.
- Ej, chłopce a mnie siek widzi, ze sie palenka z tobom harkała.

Ale ze stryk beł chłopek fajny i poćciwy, to sie uśmioł i peda: - "kie tyk pienci ćtyrok zjadło, to oni za dziwienci bedom stać do tei świonteonyj nowenny. Oj ten Jaś, ten Jaś! Diasi z nim, diasi!".-

Gazda

D N I   G R O Z Y   I   W A L K I ...

(z pamiętnika kawalerzysty)

Transporty..., marsze..., walki...!

Oddział Rozpoznawczy 2-ej Dywizji Strzelców Pieszych, pełniący swą służbę przy dywizji wojsk francuskich, osiąga w dniu 16 czerwca 1940 r. rejon Lure. Nieprzyjaciel posuwa sie zmotoryzowanymi kolumnami od strony Vesoul, odległego od nas o 35 kilometrów na północ.

Gdzieś, daleko dudnią głucho działa i jazgocą terkotliwie ciężkie karabiny maszynowe. Niedaleko widać kłęby dymu. To pali się jakaś wioszczyna. Oddział nasz nie jest całkowicie zmotoryzowany i kulą u nogi staje się szwadron konny, który na swoich szkapach nie może nadążyć motorom. Amerykańskie "indiany" śmigają przed nami z wesołym warkotem. Motocykliści w zielonych kombinezonach, z zuchwałą miną i z maszynka w garści pędzą przed nami, bez opamiętania i tylko tumany kurzu znaczą ich drogę. Oni właśnie rozpoznają i ubezpieczają nas od czoła.

Wystawione poprzedniego wieczoru placówki zostają ściągnięte i zaraz potym posuwamy się w kierunku na miasto le Mans, na południe.

Coś jest nie w porządku!



Mijamy żołnierzy francuskich, których luźne grupy albo pojedynczo, bez broni, z nieodstępnemi "bidonami" - idą, lub jadą na południe. Wielu ma opaski czerwonego krzyża na ramieniu. Jadą jakieś działa, diabli wiedzą dokąd. Na jaszczach widać bety, klatki z królikami, to znowu pełne skrzynie konserw, zamiast amunicji. Wszystko to ogarnięte jakimś nerwowym pośpiechem i bezładem. Dalej spotykamy tabory 45-go korpusu armii francuskiej. Czarni żołnierze, o świecących twarzach błyskają białkami wyłupiastych oczu i szczerzą zęby w uśmiechu. Podjeżdża do mnie kolorowy podoficer w jaskrawym, barwnym kepi i prosi o amunicję, bo brak im naboii karabinowych. Dostaje kilka paczek ładunków i widzę, jak je zaraz rozdaje obsłudze taborów.

Jedziemy dalej w kolumnie sekcji, bo lotnicy niemieccy krążą gęsto nad szosami i ostrzeliwują cofające się wojska.

Jest już późno, gdy dojeżdżamy do m.Hericourt, które ostrzeliwuje artyleria niemiecka. Wiem, że to ogień pościgowy i nic sobie z tego nie robię. Widzę, jak płonie szereg domów a między innymi i koszary wojskowe. Fontanny ognia z wybuchających pocisków tryskają w górę, a odłamki szrapneli świszczą w powietrzu. Zapalam beztrosko oryginalny "trouppe" i obserwuję szosę zapchaną przez ludzi, konie i różnego rodzaje pojazdy. W świetle płonących domów i przy akompaniamencie wybuchających co chwila pocisków - robi to wszystko wrażenie jakiejś piekielnej kawalkady, którą z czasem pochłaniają mroki nocne.

Dla zabicia czasu zaczynam półgłosem nucić "Madelon". Ktoś podrywa melodię. Cisza tam! - pada rozkaz od przodu. Spluwam siarczystym przekleństwem i milknę. A tymczasem strzelanina wzmaga się bezustannie. Czuję jak koń drży pode mną przy każdym bliższym wybuchu. Uspakajam go lekkim klepaniem po miękiej, aksamitnej szyii. Robi się już szaro. Świta, kiedy nadlatuje goniec z rozkazami. Dowiadujemy się, że piąty pułk piechoty jest już na stanowiskach.

W pobliżu zaterkotały strzały. Nieprzyjaciel przed nami. "Do walki pieszej!" - pada komenda. Zostawiamy, zmęczone długim marszem konie w lesie, obok drogi i wyciągnietym krokiem walimy naprzód. Przed nami słychać rytmiczny trzask działka ppanc, które pluje pociskami do czołgów niemieckich, jakie pojawiły się już na zakręcie szosy. Kilka czołgów, które zostały trafione - palą się wielkim płomieniem. Suche strzały karabinowe dobiegają nas od strony północno-wschodniej. To piąty pułk kropi gęstą palbą ze swoich muzealnych "berthierow". My walimy już biegiem i zajmujemy stanowiska, gdy nowy rozkaz cofa nas do tyłu.

Co tam znowu za cholera z tym cofaniem! - kombinuję w duchu. Powiadają, że niema sposobu przebicia się przez silną kolumnę pancerną, jaka zagrodziła nam drogę. Ogarnia nas wściekłość pomieszana z bezradną rozpaczą. Do moździerzy nie mamy już więcej pocisków a i garłacze nasze nie zdolne są do strzelania, bo brak do nich granatów. Mamy wprawdzie jeszcze trochę ręcznych granatów, ale wypada tego po 10 sztuk na ...pluton. Nic nie możemy poradzić. Wracamy z powrotem.

Tymczasem wiadomo już, że większa część 1-go i 2-go batalionu piątego pp. została zgnieciona przez tanki nieprzyjacielskie i wielu dostało się do niewoli. Krąg wrogich oddziałów zacieśnia się dookoła nas. Jaka szkoda, że pozwolono nam odejść od Dywizji. Tam przynajmniej nie mielibyśmy tak głupio-beznadziejnych sytuacji, mielibyśmy amunicję, prowadzilibyśmy walkę i nie spadałaby nam na kark ta cała kawalkada bezładnie cofających się oddziałów francuskich. Do czorta z taką wojną! Zrezygnowani dosiadamy koni i zawracamy. Przejeżdżamy ulice miasteczka, które dymi zgliszczami. Koń mi się zatratował i biedaczysko potyka się co krok. Jestem zły na cały świat i klnę wszystkimi przekleństwami cywilizowanych narodów.

Po przejechaniu kilku kilometrów, zatrzymujemy się w lesie, przy szosie. Czwarty pluton, jadący w straży tylnej - dołącza do oddziału. W tym samym czasie nadjeżdżają "kamiony", z których wyładowuje się połowa trzeciego batalionu 5 p.p. Wszystko to ściąga do lasu.

Zarządzono odprawę. Jest pogodny dzień 17 czerwca. Na obszernej polanie gromadzą się zwolna żołnierze. Dowódca O.R., ppłk.S. objaśnia sytuację. Nie jest ona wesoła. Łączność z Dywizją przerwana i o miejscu jej postoju nie ma pewnych danych. Podobno bije się gdzieś nad rzeką Doubs. O dołączeniu zwartym oddziałem mowy być nie może, bo otacza nas pierścień zmotoryzowanych i pancernych wojsk nieprzyjaciela. W tych warunkach ppłk.S. wydaje rozkaz przedzierania się plutonów i sekcji ku granicy szwajcarskiej. Polacy z Francji mogą odejść do swoich domów... Odprawa skończona! Za chwilę grupa około 80 ludzi ładuje się na "kamiony" i - poprzedzana kilkoma motorami, pod dowództwem ppłk.S. rusza z zamiarem przebicia się na południe Francji, gdzie przypuszczalnie będzie też spływać dywizja. Odjechali! Pozostali radzą. W szwadronach zawrzało. Odchodzę do mego plutonu.

Mój dowódca stoi na jakimś pniaku, a wokół niego gęsta ciżba stłoczonych głów ułańskich. Mówi zwięźle: -"zabierać jak-najwięcej amunicji, trochę prowiantu i idziemy!"

Dla zabicia czasu zaczynam półgłosem nucić "Mandalon". Ktoś podrywa melodię. Cisza tam! - pada rozkaz od przodu. Spluwam siarczystym przekleństwem i milknę. A tymczasem strzelanina wzmaga się bezustannie. Czuję jak koń drży pode mną przy każdym bliższym wybuchu. Uspakajam go lekkim klepaniem po miękkiej, aksamitnej szyi. Robi się już szaro. Świta, kiedy nadlatuje goniec z rozkazami. Dowiadujemy się, że piąty pułk piechoty jest już na stanowiskach.

W pobliżu zaszczekały strzały. Nieprzyjaciel przed nami. "Do walki pieszej!" - pada komenda. Zostawiamy, zmęczone długim marszem konie w lesie, obok drogi i wyciągniętym krokiem walimy naprzód. Przed nami wybuchł rytmiczny terkot działek ppanc., które plują pociskami do czołgów niemieckich, jakie pojawiły się już na skraju szosy. Kilka czołgów, które zostały trafione - palą się wielkim płomieniem. Suche strzały karabinowe dobiegają nas od strony północno-wschodniej. To piąty pułk kropi gęstą palbą ze swoich muzealnych "bertierów". My wszyscy już biegiem i zajmujemy stanowiska, gdy nowy rozkaz cofa nas do tyłu.

Co tam znowu za cholera z tym cofaniem! - komentuję w duchu. Powiadają, że niema sposobu przebicia się przez silną kolumnę pancerną, jaka zagrodziła nam drogę. Ogarnia nas wściekłość połączona z bezradną rozpaczą. Co mówić, nie mamy już więcej pocisków a i granatniki nasze nie zdolne są do strzelania, bo brak do nich granatów. Mamy wprawdzie jeszcze trochę ręcznych granatów, ale wypada tego po 10 sztuk na pluton. Nic nie możemy poradzić. Wracamy z powrotem.

Tymczasem wiadomo już, że większa część 1-go i 2-go batalionu piątego pp. została zgnieciona przez tanki nieprzyjacielskie i wielu dostało się do niewoli. Krąg wrogich oddziałów zaciska się dookoła nas. Jaka szkoda, że pozwolono nam odejść od Dywizji. Tam prawdopodobnie nie mielibyśmy tak głupio-beznadziejnych sytuacji, atakowalibyśmy zwarcie, prowadzilibyśmy walkę i nie wpadałyby nam aż w tą całą kawalkadę bezładnie cofających się oddziałów francuskich. Do czorta z taką wojną. Zrezygnowani dosiadamy koni i zawracamy. Przejeżdżamy ulice miasteczka, które dymi zgliszczami. Koń mi się zestrachował i bezładnie potyka się co krok. Jestem zły na cały świat i klnę wszystkimi przekleństwami cywilizowanych narodów.

Po przejechaniu kilku kilometrów, zatrzymujemy się w lesie przy szosie. Czwarty pluton, jadący w straży tylnej - dołącza do oddziału. W tym samym czasie nadjeżdżają "Kamiony", z których wyładowują się pozostałości trzeciego batalionu 5 p.p. Wszystko to ściąga do lasu.

Zarządzono odprawę. Jest pogodny dzień 17 czerwca. Na czerwcowej polanie gromadzą się zwolna żołnierze. Dowódca O.Z., ppłk.S. objaśnia sytuację. Nie jest ona wesoła. Łączność z Dywizją przerwana i o miejscu jej postoju nie ma pewnych danych. Podobno bije się gdzieś nad rzeką Doubs. O dołączeniu zwartym oddziałem mowy być nie może, bo otacza nas pierścień zmotoryzowanych i pancernych wojsk nieprzyjaciela. W tych warunkach ppłk.S. wydaje rozkaz przedzierania się plutonów i sekcji ku granicy szwajcarskiej. Polacy z Francji mogą odejść do swoich domów. Odprawa skończona! Za chwilę grupa około 80 ludzi żegna się z "Kamionami" - poprzedzana kilkoma motorami, pod dowództwem ppłk.S. rusza z zamiarem przebicia się na południe Francji, gdzie przypuszczalnie będzie się odtwarzać dywizja. Odjechali! Pozostali reszta. W szeregach zamieszanie. Odchodzę do mego plutonu.

Mój dowódca stoi na jakimś pniaku, a wokół niego gęsta ciżba zatroskanych twarzy ułańskich. Mówi zwięźle: - "zabierać jak-najwięcej amunicji, trochę prowiantu i idziemy!"



Mój porucznik, pomimo tragizmu chwili, nie traci zimnej krwi i szybko organizuje resztki plutonu do wymarszu. Fasujemy prowiant, ile kto chce. Jest tego dużo; pełne "kamiony" wyładowane prowiantem po brzegi stoją na drodze, w lesie. Zbieram rozrzucone granaty i ładunki, które zaraz zostają roschwytane przez ułanów. Za chwilę jesteśmy już na koniach i gotowi do drogi... Jest nas piętnastu, zdecydowanych na wszystko straceńców. Ruszamy stępa. Kierujemy się na południe. Po raz ostatni jeszcze widzę dowódcę szwadronu. Twarz ma zabarwioną rumieńcem, jest wyższy o głowę od otaczających go oficerów, z którymi rozmawia, gestykulując rękami. Żal mi go bardzo. Ha! cóż robić. Trzeba się rozstać.

Nasz oddział ciągnie w szyku bojowym. Mijamy znowu nieszczęsne Hericourt. Zaraz, za miasteczkiem wjeżdżamy do małej wioski, gdzie zatrzymujemy się, ażeby nakarmić i napoić wygłodniałe konie. Francuskie dziewczęta częstują nas winem. Po krótkim postoju ruszamy dalej. Za nami biegnie luzem kilka pozostawionych koni. Mądre zwierzęta nie chcą opuścić swoich towarzyszy. Na nocleg zatrzymujemy się w lesie. Radzimy nad sytuacją. Okazuje się, że nie jest dobrze. Konie trzeba będzie porzucić. Coś ściska za gardło, gdy usłyszałem tę decyzję. Jesteśmy otoczeni przez nieprzyjaciela i w tych warunkach mowy być nie może o przedarciu się na koniach. Dalej musimy iść pieszo. Porucznik wydaje nam rozkazy, ale głos mu przy tem drga... Wiem, że mu żal koni. Taki żal rozumie najlepiej kawalerzysta. Nie ma rady! Przewiązuję grzbiet mego konia derką i głaszczę go pieszczotliwie po szyii. Czuję wilgotny dotyk końskich nozdrzy i robi mi się strasznie smutno, jakbym żegnał kogoś bardzo drogiego. Nie ma czasu na sentymenty. Niszczę cały rząd i łamię niepotrzebną już szablę. Jestem gotów.

Po krótkim wypoczynku ruszamy. Cztery pary nożyc, jakie zabraliśmy, okazały się w tej wędrówce bardzo pożyteczne. Przecinamy nimi druty zagradzające nam drogę, a często też tniemy z satysfakcją czarne żyły niemieckich linii telefonicznych. Przecinam taki drucik, łączę izolację i w niech szuka "swołocz" - cieszę się w duchu, że kabel nie działa. Staramy się omijać osiedla ludzkie. W drugim dniu marszu nie mamy już prowiantu. Jesteśmy wyczerpani, głodni... Maszerujemy w tych warunkach jeszcze kilka dni. Ułani, młodzi chłopcy, nie przywykli do takiej "eskapady" słabną wyraźnie i ledwo powłóczą nogami. Boję się, że - gdy przyjdzie do walki - nie wytrzymamy długo. Jesteśmy obładowani granatami i amunicją, niby muły. Paski chlebaków wrzynają się w ciało, a nogi ciążą jak bryły ołowiu. Pomimo osłabienia postanawiamy walczyć w razie zaskoczenia, do ostatka. Ano trudno, jak wojna - to wojna! Sypiamy przeważnie na ziemi, w lesie, na skałach, gdzie się da. Od spotkanych Francuzów dowiadujemy się, że dywizja nasza stoczyła walkę pod Damprichard i pod Maiche, gdzie w morderczych zmaganiach z przeważającymi siłami wroga, zmuszona została do przekroczenia granicy szwajcarskiej. Wiadomość tę przyjmujemy z tępą rezygnacją. Po namyśle zawracamy. Tam już nie było poco iść... Co chwila natrafiamy na ogień nieprzyjacielskich karabinów maszynowych. To znowu obrzucają nas granatami z przejeżdżających samochodów. Tracimy jednego ułana. Przechodzimy rzekę Doubs, później jakiś kanał i osiągamy rejon Hypolytte. Zamilkły już ciężkie działa i ciszę przerywa tylko warkot motorów niemieckich, patrolujących okolicę. Hypolytte potrzaskane jest dokładnie przez naszą ciężką artylerię. To ślady ognia zaporowego 202 p.a.c., który wspomagany przez lekką artylerię dywizyjną skutecznie powstrzymywał potężny napór pancernych kolumn, które waliły masami na ostatnią redutę naszej dywizji. Tu i tam widzimy kupy żelaziwa ze spalonych i rozbitych czołgów, samochodów pancernych, strzaskanych moździerzy i dział. W Hypolytte są już Niemcy. Dowiadujemy się, że rozplakatowane afisze grożą śmiercią tym, którzy po 25 czerwca nie złożą broni.

Mój porucznik, pomimo tragizmu chwili, nie traci zimnej krwi i wszystko organizuje resztki plutonu do wymarszu. Fasujemy prowiant, ile kto chce. Jest tego dużo; pełne "camiony" wyładowane prowiantem po brzegi stoją na drodze, w lesie. Zbieram porzucone granaty i ładunki, które zaraz rozdaję porzucone przez uchodźców. Za chwilę jesteśmy już na szosie i gotowi do drogi... Jest nas piętnastu, zdecydowanych na wszystko straceńców. Ruszamy szybko, kierujemy się na południe. Po raz ostatni jeszcze widzę dowódcę szwadronu. Twarz ma zaczerwienioną zmęczeniem, jest wyższy o głowę od otaczających go oficerów, z którymi rozmawia, gestykulując rękami. Żal mi go-chadze. Ha! cóż robić. Trzeba się rozstać.

Nasz oddział ciągnie w szyku bojowym. Mijamy zamek niewzruszonego Harlcourt. Zaraz, za niemieckim wjeżdżamy do małej wioski, gdzie zatrzymujemy się, aby nakarmić i napoić wygłodniałe konie. Francuscy dzierżawcy częstują nas winem. Po krótkim postoju ruszamy dalej. Za nami idzie jeszcze kilka pozostawionych koni, które wałęsają się obok opuścić swoich towarzyszy. Na nocleg zatrzymujemy się w lesie. Radzimy nad sytuacją. Okazuje się, że nie jest dobrze. Konie trzeba będzie porzucić. Coś ścisnęło mnie za gardło, gdy usłyszałem tę decyzję. Jesteśmy otoczeni przez nieprzyjaciela i w tych warunkach mowy być nie może o przedarciu się na koniach. Dalej musimy iść pieszo. Porucznik wydaje nam rozkazy, ale głos mu drży trochę... Wiem, że mu żal koni. Taki żal rozumie najlepiej kawalerzysta. Ale cóż radzić! Przewieszam grzbiet mego konia derką i głaszczę go pieszczotliwie po szyi. Czuję wilgotny dotyk końskich nozdrzy i robi mi się strasznie smutno, jakbym żegnał kogoś bardzo drogiego. Nie ma czasu na sentymenty. Rzucamy ostatni raz okiem na konie niepotrzebne już nam. Jestem gotów.

Po krótkim wypoczynku ruszamy. Cztery dni i noce, jakie spędziliśmy, zeszły się w tej wędrówce bardzo pożyteczne. Przeciwnych nam drugi gorzej mijamy nam drogę, a często też toczymy z nieprzyjacielem zażarte boje. Omijamy linii telefonicznych. Przecinamy takie druty, drogą izolacji i z dala "avecboe" - cieszę się w duchu, że kabel nie działa. Staramy się unikać osiedla ludzkie. W drugim dniu marszu nie mamy już prowiantu. Jesteśmy wyczerpani, głodni... Maszerujemy w tych warunkach jeszcze kilka dni. Mani, młodzi chłopcy, nie przywykli do takich "marszów" wlokąc się wyraźnie i ledwo powłócząc nogami. Boję się, że - gdy przyjdzie do walki - nie wytrzymamy długo. Jesteśmy obładowani granatami i amunicją, nasze pasy taśm wrzynają się w ciało, a nogi ciążą jak gdyby ołowiem. Pomimo zmęczenia postanowiliśmy walczyć w razie zaskoczenia, do ostatka. Ale wojna - to wojna! Gdy jesteśmy przemęczeni na ziemi, w lesie, na ścieżce, dzie nie da. Od spotkanych Francuzów dowiadujemy się, że dywizja nasza stoczyła walki pod Dampierre i pod Baldnem, gdzie w bohaterskich walkach z przeważającymi siłami wroga, zmuszona została do przebicia się przez linie nieprzyjacielskie. Wiadomość tę przyjmujemy z pełną rezygnacją. Po namyśle maszerujemy. Tam już nie było poco iść... Co chwila natrafiamy na ślady zdobytych nieprzyjacielskich karabinów maszynowych. Te znowu oznaczają nas granatami z przejeżdżających samochodów. Tracimy jednego ułana. Przechodzimy razem Douba, później jakiś kanał i zaległy wojsk Hypolyte. Zamilkły już strzały dział i ciszę przerywa tylko warkot motorów nieprzyjacielskich, patrolujących okolicę. Hypolyte potrzebne jest dowództwo przez naszą dywizję, dowództwo artylerii. To zlały ognia szturmowego 20 p.a.c., który wspomagany przez lekką artylerię dywizyjną skutecznie powstrzymywał potężny napór pancernych kolumn, które waliły masami na ostatnią redutę naszej dywizji. Tu i tam widziały kupy żelaziwa ze spalonych i rozbitych czołgów, samochodów pancernych, strzaskanych motocykli i dział. W Hypolyte są już Niemcy. Dowiadujemy się, że rozpakowane oddziały grupy zaciekłe tym, których po 25 czerwca nie złożą broni.

Na tą wiadomość porucznik R. uśmiecha się tylko złośliwie: "szlak wpierw ich trafi, a żywcem nas nie wezmą!". Patrzę w jego brudem pokrytą twarz, i widzę w szarych źrenicach zmęczonych oczu tyle zaciętej stanowczości, że działa to na mnie uspakajająco. Wiem już, że do niewoli nie pójdziemy. Raczej śmierć! Rozglądam się dookoła i na twarzach ułanów widzę ten sam wyraz nieugiętej stanowczości. Bezwiednie dotykam wiązki granatów dyndających się na pasie z groźnym chrzęstem. Kapral Ł. uśmiecha się znacząco i kiwa z uznaniem, potakująco. Zaraz wysuwamy się naprzód, jako ubezpieczenie.

Tak, tak! - duch mocny, ale ciało słabnie. Od kilku dni nie mamy już nic do jedzenia. Przekonałem się wtedy, że kora brzozowa zaspakaja też głód, tylko należy ją jeść na świeżo. Jadłem ją ukradkiem, bo mi wstyd było przed współtowarzyszami tego "raidu" spieszonej kawalerii.

Po szesnastu dniach kluczenia, zbliżamy się do granicy. Jeszcze jeden skok i ... jesteśmy uratowani. Ostatni raz - myślę sobie - i szybko przecinam kabel telefoniczny niemieckiego posterunku. Przechodzimy na drugą stronę.

Jesteśmy już bezpieczni, a przecież nie cieszymy się. Rozkaz pchnął nas najpierw na południe, później ten sam rozkaz przywiódł nas do Szwajcarii. Był czwarty lipiec.

Idąc dalej, spotykamy jakiegoś żołnierza, ubranego w ciemno-zielony mundur. Na nasz widok cofnął się wystraszony. Uspokoiliśmy go przyjaznymi gestami rąk i nawoływaniem. Był to żołnierz szwajcarski. Nie zdziwiliśmy się wcale, że boją się nas i tutaj. Francuzi też uciekali od nas jak od zapowietrzonych. Nasz przewodnik poprowadził nas do najbliższej strażnicy. Z dowódcą strażnicy rozmowa była krótka. Dochodzimy do porozumienia. Oddajemy broń i amunicję. Ciskam swój nagan w kąt, aż odpadają okładki i siadam na ławie strażnicy. Pod powieki cisną się łzy żalu... Ale takich łez nie trzeba sie wstydzić, bo to są najczystsze, żołnierskie łzy.



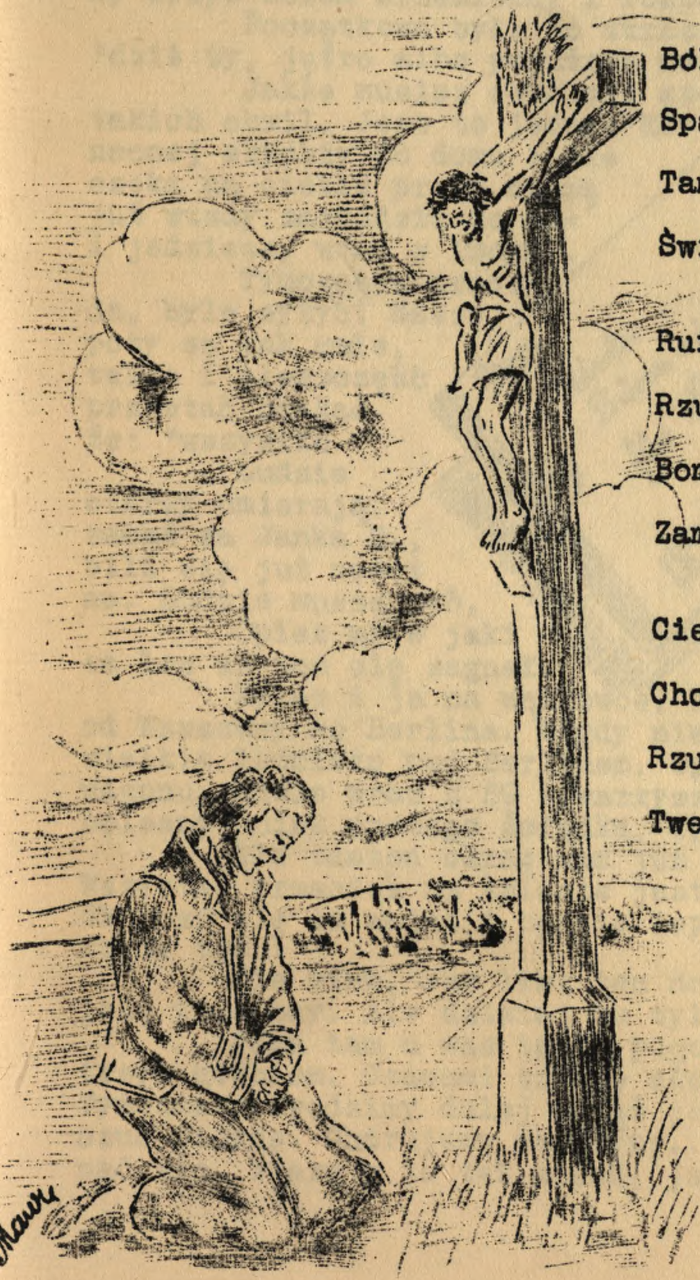
Byliśmy ostatni z naszego szwadronu konnego, który przed nami już przekroczył granice. Przeżyliśmy wiele ciężkich dni, ale -podobnie jak inni - broni nie oddaliśmy wrogom.

Żołnierz, który rzuca broń dobrowolnie - jest tchórzem! Myśmy wiedzieli o tem, jak i też zdajemy sobie sprawę z tego, że odebrane nam karabiny wrócą kiedyś do naszych rąk i to było nam jedyną pociechą w tej niedoli.

Wiemy, że wrócimy do naszych siedzib, w Ojczyźnie i czas wiele wykreśli z pamięci, gdy włosy przyprószy siwizna. Lecz tych wspólnie przeżytych chwil z dni grozy wojennej nigdy nie zapomnę. Będę zawsze widział w swoim dowódcy i kolegach wzór cnoty żołnierskiej, która pozwoliła nam dotrwać do końca i spełnić obowiązek Polaka - Żołnierza.-

Szlewicki Feliks
plut. rez.
1. Szw. Konny

Umęczona Polska...



Ból mój i mękę Ty widzisz, o Panie!
Spalone wioski i zburzone miasta,
Tam gdzie się dawniej złocił kłos na łanie
Świeże mogiły ...dziki chwast zarasta.

Ruiny, zgliszcza..., wichr niesie popioły
Rzucając szarym prochem wzdłuż zagonów.
Bombami wroga rozbite kościoły,
Zamarły dźwięki zrabowanych dzwonów.

Cierpiałeś także za ludzkości grzechy,
Choć byłeś Królem, Jezu Miłosierny!
Rzuć promień łaski, pod słomiane strzechy,
Twemu ludowi, co Ci został wierny.

Błagam Cię dzisiaj, Wszechmogący Boże!
"Oddal ten kielich!" - niech się już
nie zbliża,
I chyląc skronie skrwawione w pokorze,
Składam swe serce u stóp Twego Krzyża.

F. Szolewicki

Ból mój i mękę Ty widzisz, o Panie!

Spalone wioski i zburzone miasta,

Tam gdzie się dawniej złocił łan na łanie

Świeże mogiły ... dzikie chwast zarasta.

Ruiny, zgliszcza..., [illegible]

Rzucając [illegible]

Bombami wrogi rozbite kościoły,

Zamarły dźwięki srebrzystych Aniołów.

Cierpiałeś także za ludzkie grzechy,

Choć byłeś Królem, Jego dziedzicem!

Rwał [illegible]

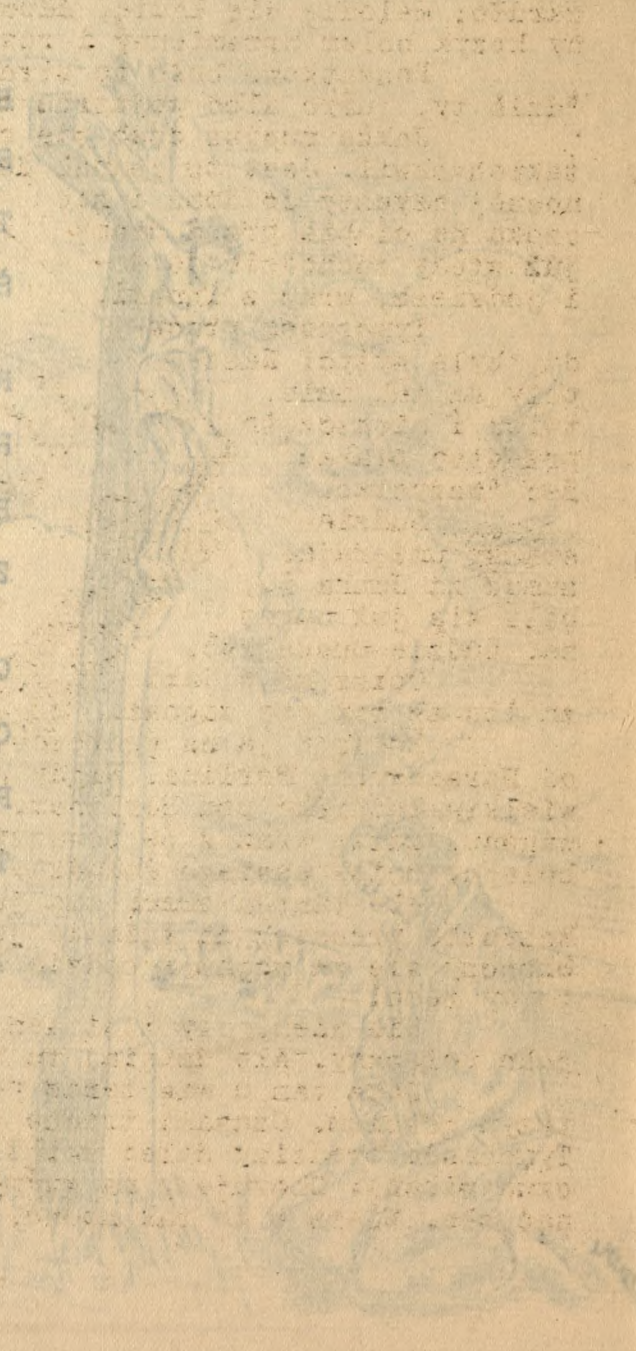
Twemu ludowi, co Ci został wierny!

Błagam Cię dzisiaj, [illegible]

"Oddal ten kielich" - niech się już [illegible]

i [illegible]

[illegible] u stóp Twego Krzyża.



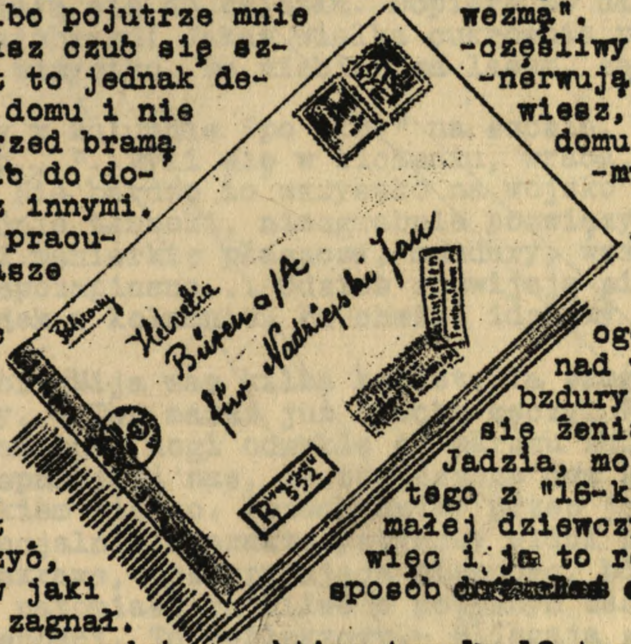
Wielkopolska, w lutym, 1941 roku.

Drogi Stachu!

Byłem przekonany, że jesteś już tam gdzieś wykończony. Dopiero po przeczytaniu twego listu do Józka, dowiedziałem się, że tak nie jest. Nie wyobrażasz też, jak bardzo się ucieszyłem. Dziękuję ci za pozdrowienia i nawzajem życzę ci z całego serca spełnienia tego wszystkiego, czego tu wymieniać nie będę. Mamy przecież wspólne i najgorętsze życzenia do spełnienia. List ten wysyłam jeszcze dzisiaj, bo jutro mógłbym nie zdążyć. Nikt z nas nie jest pewien dnia i godziny. Przychodzi taki czas, że stary i młody, matka i dziecko muszą wszystko zostawiać na miejscu i z małym węzełkiem na ramieniu idą... I tak codziennie ruszają gromady naszych na wędrówkę, na tułaczkę - w głąb kraju, za kordon... Wielu idzie ze śpiewem na ustach, ażeby nie okazać wzruszenia, co chwyta za gardło; melodię się łamią, słowa się rwą i powstaje z tego wielki, ogromny krzyk bólem brzemienny i rospaczą akcentowany.

Poczatkowo było to straszne, ale dziś już przywyklismy i mówimy: "dziś ty, jutro albo pojutrze mnie wezmą".

Jakże musisz czuć się sz- -częśliwy, że nie przeżywasz
takich chwil. Jest to jednak de- -nerwujące, kiedy wracasz z
nocnej szychty do domu i nie wiesz, czy samochód nie
czeka na ciebie przed bramą domu. Nie potrzebujesz
już wtedy zachodzić do do- -mu, siadasz w samochód
i jedziesz, wraz z innymi.



Tymczasem pracu- -jemy jak i gdzie się
da, byle wyżyć! Nasze zmartwienia i kło-
poty są tak małe, drobne wobec zmar-
twien i nieszczęść ogółu, że postanowiłem
przestać płakać nad własnym losem i mówię,
że: "wszystko bzdury - nos do góry!"

Ludzie się żenią, nowi się rodzą, a
starzy umierają. Jadzia, moja siostra, wyszła
zamąż za Janka S., tego z "16-ki" żeglarskiej. Doro-
bili się już nawet małej dziewczynki. To nic, że woj-
na. Ludzie muszą żyć, więc i ja to robię.

Opisz mi w jaki sposób [illegible] do Szwajcarii i co
za los aż tam cię zagnał.

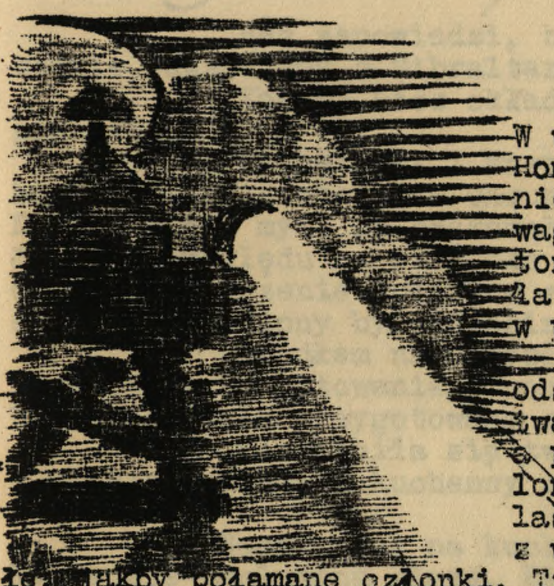
Byłem i ja na wędrówce, która trwała 12 tygodni na przestrzeni od Warszawy do Berlina. Nigdy nie myślałem, że będę tak prędko oglądał wielkie lotnisko pod Berlinem. Oglądałem przez małe okienko, z bydlęcego wagonu, gdzie wraz z 59 towarzyszami niedoli drżałem z zimna i czułem bolesny ucisk pustego żołądka. Ty przynajmniej tego nie odczuwasz!

Ale tamten okres mam już po za sobą i staram się zapomnieć. Wszystko przecież na świecie jest przemijające. Tak też będzie i z wojną. Skończy się ta wojna i będzie lepiej... Wszyscy mamy tę nadzieję i wierzymy temu!

Nie wiem, czy list ten dojdzie do twoich rąk, chociaż wysyłam jako polecony. Ale dzisiaj tu tyle listów ginie, niewiadomo jak i gdzie.

Jaka tam u was teraz pogoda? bo u nas deszcze i wiatry najczęstrzym gościem. Czasami trochę słońca błyśnie i każe myśleć o wiośnie. Tymczasem brodzimy dalej wciąż jeszcze w tym błocie, które nie pozwala czuć wiosnę. Chorujemy na grypę... Ale i to minie tak, jak musi przeminąć zło. Wierz w to tak mocno, jak i ja wierzę!

Twoj Marian.



PIERWSZE CHWILE W STALAGU .

(Z pamiętnika jeńca)

Pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji. W wielkim, towarowym wagonie "8 Chevaux - 40 Hommes" panuje zupełna cisza. Natłoczeni, ściśnieni, siedzą ludzie w mundurach, na podłodze wagonu i czekają, kiedy znów zacznie się monotonne kołysanie, zgrzyt i jazgot żelaziwa i cała ta bezustanna symfonia trzydniowej jazdy jak w pudle... Ale tym razem już się nie powtarza...

Ze szczękiem źle naoliwionego żelaza odsuwają się wielkie drzwi wagonu. Ukazuje się twarz niemieckiego żołnierza, najeżony bagnet, a poza tym wszystkim rozległy, daleki widok zielonych pól, pustej, asfaltowej szosy i jakiegoś lasu na zboczu wzgórza. To już tu? - Wyskakujemy z wagonu. Z wielkim trudem prostuje się zdrętwiałe, jakby połamane członki. Trzydniowa jazda to nie drobnostka! Oczy też z trudnością przyzwyczajają się do światła. Dopiero po dłuższej chwili spostrzegamy szczegóły krajobrazu! Jakaś wielka cukrownia po prawej stronie toru, kilka domków - to wszystko. Na niebie, za lasem, za wzgórzem zachodzi słońce...

Wyciągamy się w kolumnie "po pięć" na szosie. Ktoś nas liczy: "ein, zwei, drei, vier,..". Myli się w liczeniu, wraca, liczy jeszcze raz.

Już idziemy! Nie bardzo to wszystko na wojsko wygląda. Na plecach kołyszą się nam bezładnie tłumoki, niezgrabnie pozwiązywane, dzwonią źle przymocowane menażki i manierki; płaszcze, mundury, wszystkich pułków i broni są podarte i niepozapinane... Gdzieś rozwijają się komuś owijacze - wytwarza się nieporządek w kolumnie. Po chwili idziemy już w bezładnej gromadzie.

Zapada wieczór. Mija nas kilka kobiet. Ta sama śpiewna, mowa tyrolska, co u żołnierzy. - Ten marsz już trochę męczy. Fatalnie związany tłumok wrzyna się w ramiona, nogi odwykłe od marszu zaczynają się buntować. Żołnierze z konwoju uspakajają nas, że to jeszcze dwa kilometry.

Jest już całkiem ciemno. Przechodzimy przez jakiś mostek, mijamy zakręt szosy i oto specjalnie charakterystyczny widok przykuwa naszą uwagę. Setki świateł. Jaskrawe, przeszywające ciemność, białe światła. Jedne są nieruchome, drugie natomiast ruchliwe o potężnym zasięgu i długim snopie srebrnej powodzi jasności. To reflektory.- Ślizgają się długie, jaskrawo-białe smugi światła wzdłuż niekończących się zasieków drutu kolczastego. Ostrożnie, cicho, szybko i sprawnie obmacują każdy centymetr drutu i każdą piędź ziemi dokoła wysokiego płotu.

Ten widok robi na nas potężne wrażenie. Jakby nas wszystkich zahypnotyzował. Jakby w tych światłach było jakieś groźne, przemożne momentum. Z tym uczuciem, mieszaniną strachu, tępego poddania i bezwładnej bezradności przechodzimy przez potężną bramę obozu. Z ciemności patrzy na nas tylko jedna wielka tablica, ze swoim jedynym wyrazem początkowym: "Achtung!" - Znów nas liczą. Stoimy milcząco. Działa atmosfera tej ciepłej nocy wczesnej jesieni, tych milczących, groźnych reflektorów i tego nieznanego a ciężkiego wyrazu: "Achtung!" Przy świetle reflektorów przechodzimy szybką, pobieżną rewizję. Potym wąską ścieżką idziemy do baraku. Snop reflektora przeszywa na chwilę ciemność i widzimy przed sobą długą, płaską budowlę: barak. - Tłoczy się wszystko w nawpół ciemnej przestrzeni. Słychać jakieś okrzyki. Ładują się obciążone tłumokami postacie na wszystkie trzy piętra pryczy. Ktoś usiłuje zaprowadzić porządek - na nic. To trwa może godzinę. Przemęczonych długotrwałą jazdą i wrażeniami zaczyna owładać ciężki sen - pierwszy sen w Stalagu.-

PIERWSZE CHWILE W STALAGU

(Z pamiętnika jeńca)

Pociąg zatrzymał się na [illegible] stacji. W wielkim, towarowym wagonie "8 chevaux – 40 hommes" panuje zupełna cisza. [illegible] ludzie w [illegible] wagonu i [illegible] [illegible] już się nie powtarza... [illegible] się wielkie drzwi wagonu. [illegible] niemieckiego żołnierza, nałożony bagnet [illegible] widok [illegible] jak na rzeczy. To już tu! – Wyskakujemy z wagonu. Z wielkim trudem [illegible]

[illegible] czasami. Przywykłem jednak [illegible] Dopiero po dłuższej chwili [illegible] krajobrazy [illegible] jakaś wielka cukrownia po prawej stronie [illegible] wszystko. Na niebie, nad lasem, za wagonem zachodzi słońce...

Wyciągamy się w kolumnie "po pięć" na szosie. Ktoś coś krzyczy. Nikt [illegible] drogi [illegible] w kolumnie, [illegible] Już idziemy! Nie bardzo to wszystko na wojsko wygląda; [illegible] się nam bezładnie [illegible], niedorzecznie podkrzykiwane, [illegible] płaszcze, mundury, [illegible] wszystkich [illegible] podarte i niedopasowane. Odkąd [illegible] Po chwili idziemy już w bezładnej gromadzie.

Zapada wieczór. Mija nas kilka kobiet. Te same spojrzenia, [illegible] co u żołnierzy. – Ten marsz już trochę męczy. [illegible] w ramionach, nogi [illegible] od marszu [illegible] Dowiadujemy się od eskorty, że to jeszcze dwa kilometry.

Jest już całkiem ciemno. Przechodzimy przez jakieś miasteczko, [illegible] i oto spostrzegamy charakterystyczny widok [illegible] światła, jaskrawe, przeszywające ciemność, białe światła. Jedne [illegible], drugie natomiast [illegible] o potężnym zasięgu i długim snopie srebrnej powodzi jasności. To reflektory. – Zbliżamy się długo. [illegible] widok niekończących się zasieków drutu kolczastego [illegible] szybko i sprawnie [illegible] każdy centymetr drutu i każdy [illegible] wysokiego płotu.

Ten widok robi na nas potężne wrażenie. [illegible] w tych światłach było jakieś groźne, przemożne [illegible] mieszkańcy [illegible] Przechodzimy przez potężne wrota obozu. Z ciemności patrzy na nas tylko wielka tablica, ze swoim jedynym wyrazem [illegible] "Achtung!" Przy świetle reflektorów przechodzimy [illegible] Potem wąską ścieżką idziemy do baraku. [illegible] reflektorów [illegible] przeszywa na chwilę ciemność i widzimy przed sobą [illegible] barak. – Tłoczy się wszystko w nawpół ciemnej przestrzeni. [illegible] okrzyki. [illegible] Ktoś usiłuje zaprowadzić porządek – na nic. To trwa może godzinę. [illegible] przemęczonych długotrwałą jazdą i wrażeniami [illegible] pierwszy sen w Stalagu.

Płyniemy do Anglii.

Bez zapowiedzi, bez gwizdu syren okrętowych, nagle lecz spokojnie ruszyliśmy z Gibraltaru w kierunku upragnionej Anglii.

Konwój nasz składał się z 21 statków i dwóch krążowników angielskich.

Płynęliśmy i wszystkim było dobrze. Żołnierze i oficerowie w braku chleba z apetytem chrupali suchary. Życie bardzo nieskomplikowane. Nikt się nie mył, bo brakowało słodkiej wody. Kuchnia przeznaczona dla załogi, ze względu na szczupłe rozmiary była niedostępna dla "pasażerów". Coprawda burczenie żołądków zagłuszał szum fal, ale pomimo to każdy z jadących spragniony był odrobiny ciepłej strawy.

Wpadłem na pomysł! Lecę do generała. - A co, gdybyśmy dostali zezwolenie na gotowanie w nocy, gdy kuchnia jest wolna, a w dzień tylko byśmy odgrzali przygotowaną strawę?

Rozjaśniła się twarz generała. Uścisnął mi rękę i rzekł: - To z ciebie prawdziwy kuchenny strategik. Zaatakujemy kuchnię w nocy!

*

Nocny atak na kuchnię powiódł się nadspodziewanie, a ja zyskałem sobie zasłużoną sławę. Płyniemy już od siedmiu dni i dostajemy ciepły posiłek. Humory dobre, choć pogodę miejscami mieliśmy podłą.

Dzisiaj niebo rozjaśniło się. Poczciwy "Harzonem" już też nie ciska tak wściekle, jak w ciągu ubiegłych dni.

Jest siódma rano. Pogoda skusiła mię do wyjścia na pokład, na którym, jako posterunek obserwacyjny, pełnił służbę plutonowy-pilot K. Nie spuszczał oczu z nieba. W pewnej chwili na twarzy jego odmalowało się większe zainteresowanie. - "Zdaje się, że Niemcy nadlatują" - powiedział. Za chwilę pokazywał mi palcem kierunek skąd jakoby lecieli. Nie widziałem nic. Chyba lotnik po nieprzespanej nocy - pomyślałem. Wątpliwości moje szybko rozwiał huk dział naszego konwoju. Okazało się, że był to samolot wywiadowczy i robił tylko zdjęcia "na pamiątkę".

Jakiś celny pocisk wyrwał go z regularnie zataczanych kół. Kilka nerwowych, histerycznych, zygzatowatych ruchów i nasz nieproszony gość, jak kamień, runął w otchłań morską.

Zrobiło się wesoło i zaczęto dowcipkować. Koledzy chwalili spostrzegawczość naszego pilota i w dowód "uznania" zaproponowali mu pełnienie służby obserwacyjnej do czasu ukończenia podróży.

*

Po kilku godzinach okazało się, że posterunków opl wystawiać więcej nie potrzebujemy. W oddali linia horyzontu grubiała i pęczniała. Wkrótce można już było gołym okiem rozróżnić zarys lądu. Nad bezpieczeństwem naszym czuwały setki i tysiące posterunków na wyspach Wielkiej Brytanii.-





E S K A D R A   303

Z hukiem motorów, śmigieł warkotem
Podniebnych wyżyn prując szlaki,
Oblane słońca iskrzącym złotem
Lecą wspaniałe! królewskie ptaki.

Majestatycznie i dumnie płyną,
W świetlanym brzasku jasnych zórz
W barwioną słońcem mgłę szaro-siną,
Poprzez ohmur zwały naprzeciw burz.

Walka skończona, w dymów mgławicy
Pieśnią silników powietrze drży!
Biało-czerwony znak szachownicy,
Numer eskadry brzmi - trzysta trzy!

Mknie orlim lotem po niebios dali
Aż hen!' gdzie wzrok już nie sięga.
Na obcej ziemi wykuta w stali
Przyszłej Polski Potęga!

F. Szolewicki

HUMOR I SENTYMENTY „LEŚNYCH LUDZI" W SZKOCJI

Okazało się, że "leśni ludzie" mają także swój humorek. A jakże! Bo to, ze się w lesie ciągle siedzi na podobieństwo małpostworów przecież nam jeszcze pretensji do człowieczeństwa z kretesem nie odebrało. I w myśl zasady kartezjańskiej: "myślę, więc jestem" - zdaję sobie sprawę ze swego człowieczego istnienia. Ba, czasem nie tylko myślimy, ale i przewidujemy! Przychodzi ci taki jeden do namiotu w szkocką kratę, deszczem siekanego i zaraz do mnie:

- Wiesz co?!

- Nie wiem i wiedzieć nie chcę! - odpowiadam.

- Jak nie chcesz wiedzieć, to ci powiem, bo mam właśnie wielką nowinę. Wyjeżdżamy na zakwaterowania do miasta! Mowił mi jeden goniec, który nosił takie pisemko z dowództwa obozu!

- A znasz kawał o mieście Łodzi? - pytam. Łudź się, łudź takiowaki, że wyjeżdżamy do miasta kwaterować!

A z temi namiotami to rzeczywiście bieda. Namiot... a jakże, dobra rzecz dla turysty, na week-end. Hm... nieźle... Albo dla harcerzy - ognisko, piosenki... Tak, ale też nie w marcu. Ano nic. Wytrzymamy! Wytrzymało się tyle, to wytrzyma się jeszcze.

Powoli jeden z drugim zapomina jak to "prawdziwy" dom wygląda. Lecz to wszystko "idzie" u nas na wesoło. Właśnie w tej chwili przychodzi "permisjoner" z dwudniowego urlopu, który spędził w gościnie u przemiłych Szkotów, w jednym z miasteczek - "gdzieś" w Anglii i tak gada:

- A wiecie wy "namiotowicze", że widziałem jak niektórzy tam w mieście to nawet nie w takich jak my namiotach mieszkają, a w zupełnie innych, duuużych! - ojej! A płótno w tych namiotach twarde, jak krzemień i grube - o tak, jak ta sosna! Oni to nazywają "dom", czy coś takiego. A kawę i herbatę to piją z takich małych menażek, które oni nazywają po szkocku "the glass" - szklanka podobno (jak mówi słownik). A na kolację to fasują, tyle, że zjeść tego nie można - tyle tego! Czego tam nie ma! Masło, chleb, ciastka... Dużo, bardzo dużo fasują. A kiedy już najadłem się, to kazali mi spać na takiej wygodnej pryczy, że nawet pan kapitan takiej nie ma w swoim namiocie. Koc też tam inaczej się nazywa - kołdra.



Patrzymy ze współczuciem na opowiadającego wesoła bajkę i porozumiewamy się wzrokiem. Zwariował biedak - myślimy prawie głośno. Przecież wielu astronomów też ogląda księżyc i inne planety przez olbrzymie teleskopy szkieł powiększających i wyobraźni; później każą oni wierzyć biednym naiwniakom, że tam są jakieś góry, łożyska wyschłych rzek, wygasłe kratery wulkanów, lodowce i wógole... Tłumek wierzy, ale my to już nie z jednego namiotu chleb wyjadaliśmy. Patrzymy więc z politowaniem na naszego wesołka. A może i on patrzył przez lunetę czy inny teleskop pamięci i widział to, co kiedyś w jakimś przeszłym życiu przeżywaliśmy. Przecież my tego nie możemy już pamiętać, co się działo zanim weszliśmy do tych namiotów. Ale on co innego. Popił sobie poprostu i nawiedziła go wizja dalekiej przeszłości... A może ma chłop rację? Przecież czytaliśmy, że kiedyś tam - chyba przed wiekami - my Polacy mieliśmy własna Ojczyznę, własne namioty-domy i własne rodziny. Tak też myśli i jeden z naszej załogi "wigwamu" (doktór jakichś tam praw cywilnych - w wojsku oferma), więc też smętnie zwiesił głowę i mówi:

- A ja myślę, że Franek mówi prawdę. Bo mnie jak przez mgłę przypomina te rzeczy, wśród których musiałem już kiedyś żyć.

Smutkiem powiało po namiocie. Ot, miała być taka głupia, niby poważna rozmowa, żeby się pośmiać, a i z niej wyłazi, niby szydło z worka - tęsknota, wieczna tęsknota tułacza za domem.

Otrząsam się z zamyślenia.

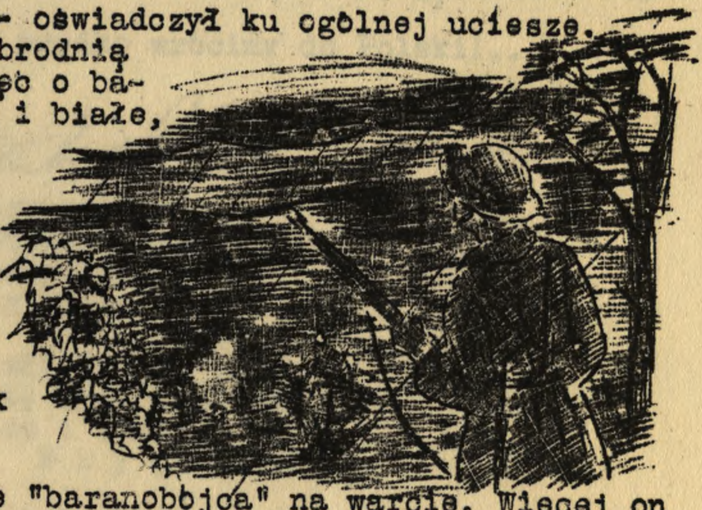
- Idziecie do kantyny? pytam - mam jeszcze trzy i pół "rudego" (tak tu nazywamy pensy), kupię czekoladkę i pudełko zapałek do twoich papierosów, ktoremi mnie poczęstujesz.

Namiot świetlicy-kantyny - to zbawienie w chwilach wolnych od codziennych zajęć. Leci tam czas szybciej przy szachach, warcabach, składance, czy innej "grze towarzyskiej". Co prawda świetlica bywa czasem terenem innych, mniej towarzyskich wydarzeń.

Uczęszczają tu gremialnie pancerniacy "prawdziwi" i pancerniacy "kawalerzyści", co to teraz do pancernych są zaliczani. Niedawno wchodzi sobie kawaleryjskim krokiem gentleman "od owsa". Na jego widok taki jeden "towarzysz pancerny" od tanków jak nie zarży: Hi, ha, ha, ha...

Nie wiele myśląc, kawalerzysta, jak go nie wyrżnie pięścią w bok...

- Masz! koń cię kopnął! - oświadczył ku ogólnej uciesze.



Jak już mowa o koniach zbrodnią byłoby, będąc w Szkocji, nie wspomnieć o baranach. Barany - małe i duże, czarne i białe, plączą się tu niezliczonemi stadami. Beczą po górach i dolinach na wszystkie możliwe tony dniem i nocą. Specjalną antypatią pała do nich jeden z moich kolegów, który z powodu takiego długowełnistego huncwota ośmieszył się wobec całej kompanii. Ale, bo był też i głupi, że ojej! Nie trzeba było "klepaczowi", największemu plotkarzowi kompanii opowiadać o swojej nocnej przygodzie.

A było to tak. Stoi sobie "baranobójca" na warcie. Więcej on chodzi, aniżeli stoi i myśli nad tem, kiedy się to chodzenie skończy.

Noc ciemna, pokapuje szkocki deszczyk. Raptem widzi jakąś białą plamę, która sunie ku niemu z pola.

- Stój! kto idzie? - wrzeszczy.

Tymczasem tamten stanął i nie porusza się...

- Podejść bliżej dla podania hasła! - recytuje regulaminowo. A włosy podobno jeżyły mu się z "przejęcia".

- A tamten nic... Jak stanął tak stoi...

- Podejść bliżej, bo strzelam! - krzyczy już mocno zdenerwowany i mierzy w kierunku nieznanego intruza, gdy raptem: - mmmee...- beczenie. Baran! Psia-krew! Autentyczny szkocki baran " w karakuły szarpany".

Od tej pory biedny chłopak był ugotowany na całego i został "baranobójcą".

A i mnie też ochrzczono "Pisarskim" - że to niby mam wieczne pióro, którego używam nie tylko do podpisywania listy żołdu.

Kiedy przysiadłem do kompanii i rozeszła się fama, że liznąłem coś-niecoś angielskiego, zaraz sypnęła sie hurmem wiara z zamówieniami na listy.

- Musisz mi dziś napisać piękny list do jednej cudnej Szkotki(tu oczy w górę i mlaśnięcie językiem co ma oznaczać najlepsze z najlepszych).

- Treść? - sam wiesz jaka treść - tak jak ostatnio pisałeś dla Tadzika. Bardzo kocham, tęsknię niezmiernie i jak tylko będę mógł przyjadę, żeby znów zobaczyć.

- List nr.16 decyduję i wyciągam z podręcznej kartoteki jeden z 24 wzorów opracowanych przeze mnie dla użytku kompanijnych Don Juanów.

Boże! Ileż to już listów o miłości i tęsknocie, ileż listów pachnących najpiękniejszym kwiatem młodego uczucia wypisało pióro moje kiepską angielszczyzną. O, najprzeróżniejsze Betty, Doris, Lotti, Jane - nie miejcież mi za złe błedów i stylu mojej angielszczyzny, bo listy któreście otrzymały nie moje pióro, lecz serca polskich chłopców pisały.

Zresztą wiem, że w listach tych nie widziałyście ani błędów, ani chropowatości stylu - talko rozmarzone oczy Jasia, Kazika, Władka czy Franka - których serca biją gorąco i poczciwie.

I tak się plecie humor z sentymentem w tym naszym namiotowym, podszytym deszczem i wichurą zycia. Jakoś nikt nie narzeka, nikt nie złorzeczy na swój twardy los żołnierski. Tylko czasem, wieczorem, gdy wiatr rozhuśta gałęzie drzew, kiedy milczenie zalegnie, gwarne i roześmiane za dnia namioty - zakutany w pledy do snu żołnierz trąci kolegę z lewa czy z prawa i tak do niego:

- ...Ty!...czuję, że już prędko wrócimy do Polski!...

Na piaskach Libii.

Pustynna dal niezmierzona...
Wiatr piaski w fałdy układa
Ślad znaczy, niezwyciężona
P o l s k a   B r y g a d a!

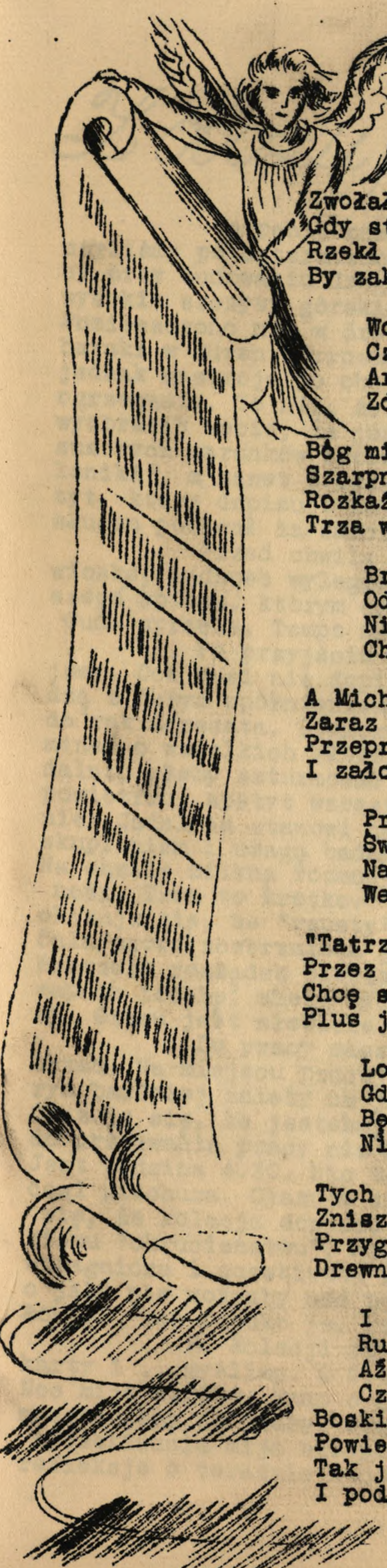
Idzie, choć słońca żar pali
Wróg wokół się czai i skrada,
W ogniu żelaza i stali,
P o l s k a   B r y g a d a!

Spalone wichrami ich twarze,
Choć trud to przecie nielada,
Wytrwa przy swoim sztandarze
P o l s k a   B r y g a d a!

Poprzez pustynne płaszczyzny
Krwawych mścicieli parada...
Dzień każdy - bliżej Ojczyzny!
P O L S K A   B R Y G A D A!!!

F.Szelewicki

Lubię tych kobylarzy słyną z elegancji,
Przytym świetnie potrafią władać białą bronią,
Dostaną ten typ koni, co mieli we Francji,
Niechże znów ostrogami jako dawniej dzwonią.



MOBILIZACJA w niebie

Zwołał Pan Bóg wszystkich świętych na naradę
Gdy stanęli kołem pod niebieskim dachem,
Rzekł do nich w te słowa:-wielki nacisk kładę
By zakończyć wojnę za ...jednym zamachem!

Wojna dla ludzkości jest widać potrzeba.
Czas! by nastał pokój, dość mam już kłopotów!
Armaty codziennie dziurawią mi niebo...
Zdrzemnąć nie pozwala warkot samolotów...

Bóg miał wyraz oblicza niezwykle surowy,
Szarpnął brodę srebrną i rzekł: - Święty Pietrze!
Rozkażesz magazyn otworzyć polowy,
Trza wszystkie mundury przesuszyć na wietrze.

Brać się do roboty! Puszczać w ruch wartsztaty!
Od dziś ustanawiam program zajęć nowy,
Niechże mi puszkarze sposobią armaty,
Chcę mieć jaknajprędzej gotów sprzęt bojowy.

A Michał Archanioł oraz święty Jerzy
Zaraz po skończonej audjencji
Przeprowadzą przegląd wśród moich żołnierzy
I założą księgi ścisłej ewidencji.

Pracę tę rozpocząć jutro ...od świtania
Świat na pomoc z nieba wciąż czeka w napięciu,
Natychmiast rozesłać karty powołania,
Według kategorii, do lat ...sześćdziesięciu.

"Tatrzańscy Rycerze" niechaj z grot powstaną,
Przez gońców im posłać specjalne wezwanie,
Chcę stworzyć jednostkę ...zmotoryzowaną
Plus jeden pluton konny, jako ...rozpoznanie.

Lotnikom po jednej dać potrzeba chmurze,
Gdyż lecąc pod nakryciem za dnia czy wieczora,
Będą niewidzialni, bo ich wtedy w górze
Nie odnajdzie nawet światło reflektora...

Tych zaś, którzy winni wojny rospętania
Zniszczę co do nogi; gdyby część uciekła,
Przygotować rejon dla ...internowania,
Drewniane baraki, na samym dnie piekła!!!

I tak jak to było, niedawno z Rumunią...
Ruszę z posad ziemię; wstrząsnę całym światem!
Aż się wszystkie kraje złączą zgody unią,
Człowiek dla bliźniego - stanie się znów bratem.
Boskie czoło troski pokryło się chmurą...
Powiedz Święty Pietrze; zali nie mam racji?!
Tak jest; - wrzaśnie Pieter. Bóg wziął złote pióro
I podpisał rozkaz, o ...m o b i l i z a c j i!

F. Szalewicki

Z obozu pracy.

Bonaduz, w marcu 1941 roku.

Kompanię naszą przetransportowano do Bonaduz, gdzie odziedziczyliśmy po internowanych Francuzach zarówno kwatery jak i odcinek pracy przy budowaniu drogi od Bonaduz do Ems. Miejscowość naszą otaczają wysokie szczyty górskie, których wierzchołki bielą się warstwą śniegu. Pomieszczono nas w drewnianych domkach, zewnętrznie przypominających baraki w Büren. Sprowadziło to początkowo podłe humory. Zmieniły się jednak nastroje po obejrzeniu wnętrz. A więc jest tu nawet i centralne ogrzewanie. To nic, że nieczynne. Mamy dość dużo poczucia humoru, ażeby wyobrazić sobie, że jesteśmy wybrańcami losu, który dostarczył nam luksusowych warunków bytowania. Są tu różne sale i salki, sypialnie i "saloniki", a nawet i oddzielne jadalnie. Zapachy z kuchni pobudzają apetyt, który dopisuje nam jak nigdy. Kucharz z uśmiechem zadowolenie słucha pochwał za smaczne porcje.

Przed chwilą wróciliśmy z roboty. Kiedy maszerowaliśmy przez wioskę, ludność wyległa z domów i z życzliwymi uśmiechami słuchali naszego śpiewu, którym chcieliśmy zagłuszyć marsz kiszek. Ach, ten apetyt! Cuda sprawia. Tempo marszu stało się tak szybkie, jak na zawodach.

Po przyjściu do kwater szukamy listów. Nie wiele ich znajdujemy. Coś musi nie dopisywać w organizacji poczty polowej. Listy dochodzą z dużym opóźnieniem i często błądzą po innych obozach, zanim trafią do rąk adresata. Stanowi to naszą największa troskę. Apetyt każe zapominać o wszelkich kłopotach. Więc szybko myjemy się i biegniemy do jadalni, ażeby szturmować talerze i menażki. Po kilkugodzinnej pracy na powietrzu, apetyt wzrasta niewspółmiernie do zapasów żywności w magazynie. Jadalnia stanowi największa atrakcję chwili. Tak jest i teraz. Ze skupieniem i uwagą badamy zawartość naczyń, które przynoszą z kuchni. Na chwilę milkną rozmowy i słyszy się tylko szczęk łyżek, widelcy i noży. Trwa to krótko. "Poemat" obiadowy jest stanowczo mały. Kiedy okazuje się, że "repety" nie będzie, wracamy do tematów przedobiadowych. Sala znowu rozbrzmiewa gwarem wesołych opowiadań i pogodnych sprzeczek. Wreszcie rozsądek bierze górę nad gadulstwem. Trzeba myć naczynia i odsapnąć trochę, ażeby być gotowym do wymarszu o wpół-do-drugiej, do pracy. Czasu jest niewiele.

Do pracy maszerujemy już w tempie mniej szybkim, aniżeli na obiad. Na miejscu pracujemy systematycznie i z sumiennością ludzi, którym bardziej zależy na jakości pracy, aniżeli na rekordowym pośpiechu. Okazuje się, że jesteśmy też bardzo punktualni, bo kiedy rozkaz wzywa do przerwania pracy nie ma wypadku, ażeby ktoś spóźnił się do wymarszu. Jest godzina 4.30. Nic też dziwnego, że tempo marszu jest równe rekordowi piechura. Okazuje się to niepotrzebne, bo na miejscu dowiadujemy się, że kolacja dopiero o szóstej. Żołądki buntują się przeciwko takiemu "okrucieństwu", ale wola hartuje się jak nigdy. Jest wreszcie upragniona i oczekiwana kolacja. Smakuje bardzo i znika z szybkością, o jaką nie możnaby nas posądzić, gdyby chciał ktoś zastosować tu przysłowie: "ten prędko je, kto szybko pracuje".

Po kolacji spacer, pisanie listów, nauka własna, gramy w karty i ...myślimy. O 9.45 gaszą światła i przypominają, że czas spać. Noc mija szybko. Rano o 6-ej pobudka zrywa nas ze snu. O 7.30 już maszerujemy do pracy. Czasu do rozmyślań jest mało. To i lepiej! Czas wyczekiwania mija niespostrzeżenie i nie pozwala na smutne często refleksje o teraźniejszości.-

M.W.

Z obozu pracy

Bondue, w marcu 1941 roku.

Kompanię naszą przetransportowano do Bondue, gdzie odziedziczyliśmy po internowanych Francuzach zarówno kwatery jak i odcinek pracy przy budowaniu drogi od Bondue do Ems. Miejscowość naszą otaczają wysokie szczyty górskie, których wierzchołki bielą się warstwą śniegu. Pomieszczono nas w drewnianych domkach, zewnętrznie przypominających baraki w Rzymie. Sprowadzono tu pocztowo pośle bunkry. Zmartwiliśmy się jednak nieco po obejrzeniu wnętrz. A więc jest tu nawet i centralne ogrzewanie. To nic, że nieczynne. Kiedy każde z nich posiada kominek, który wypromieniowuje, że jesteśmy wybrańcami losu, który dostarczył nam luksusowych warunków bytowania. Są tu zwykłe cele i salki, sypialnie i "salonki", a nawet i oddzielne jadalnie. Zapachy z kuchni pobudzają apetyt, który dopisuje nam jak nigdy. Kucharz z umieszcza zadowolenia właściwego pochwał za smaczne potrawy.

Przed chwilą wróciliśmy z roboty. Kiedy maszerowaliśmy przez wioskę, ludność wylegała z domów i z życzliwym zaciekawieniem słuchali naszego śpiewu, którym chcieliśmy zagłuszyć marsz kroków. Lecz ten apetyt! Cuda sprawia. Tempo marszu stało się tak szybkie, jak na zawodach.

Po przybyciu do kwater zmieniamy ubranie. Nie wiele ich zmieniamy. Coś musi nie dopisywać w organizacji poczty polowej, która nadchodzi z dużym opóźnieniem i często błądzi po innych obozach, zanim trafi do rąk adresata. Stanowi to naszą największą troskę. Apetyt każe zapominać o wszelkich kłopotach. Więc szybko myjemy się i biegniemy do jadalni, żeby szturmować talerze i menażki. Po kilkugodzinnej pracy na powietrzu, apetyt wzrasta niewspółmiernie do zapasów żywności w magazynie. Jedzenie stanowi największą atrakcję chwili. Tam jest i sprzęt. Ze skupieniem i uwagą badamy zawartość naczyń, które przynoszą z kuchni. Na chwilę milkną rozmowy i słychać tylko szczęk łyżek, widelcy i noży. Trwa to krótko. "Posiłek" obiadowy jest stosunkowo mały. Kiedy okazuje się, że "repety" nie będzie, wracamy do tematów przedobiadowych. Sala znowu rozbrzmiewa gwarem wesołych opowiadań i pogodnych sprzeczek. Wreszcie porządek bierze górę nad gadulstwem. Trzeba się umyć i odespać trochę, aby być gotowym do wymarszu o szóstej rano. Do pracy czasu jest niewiele.

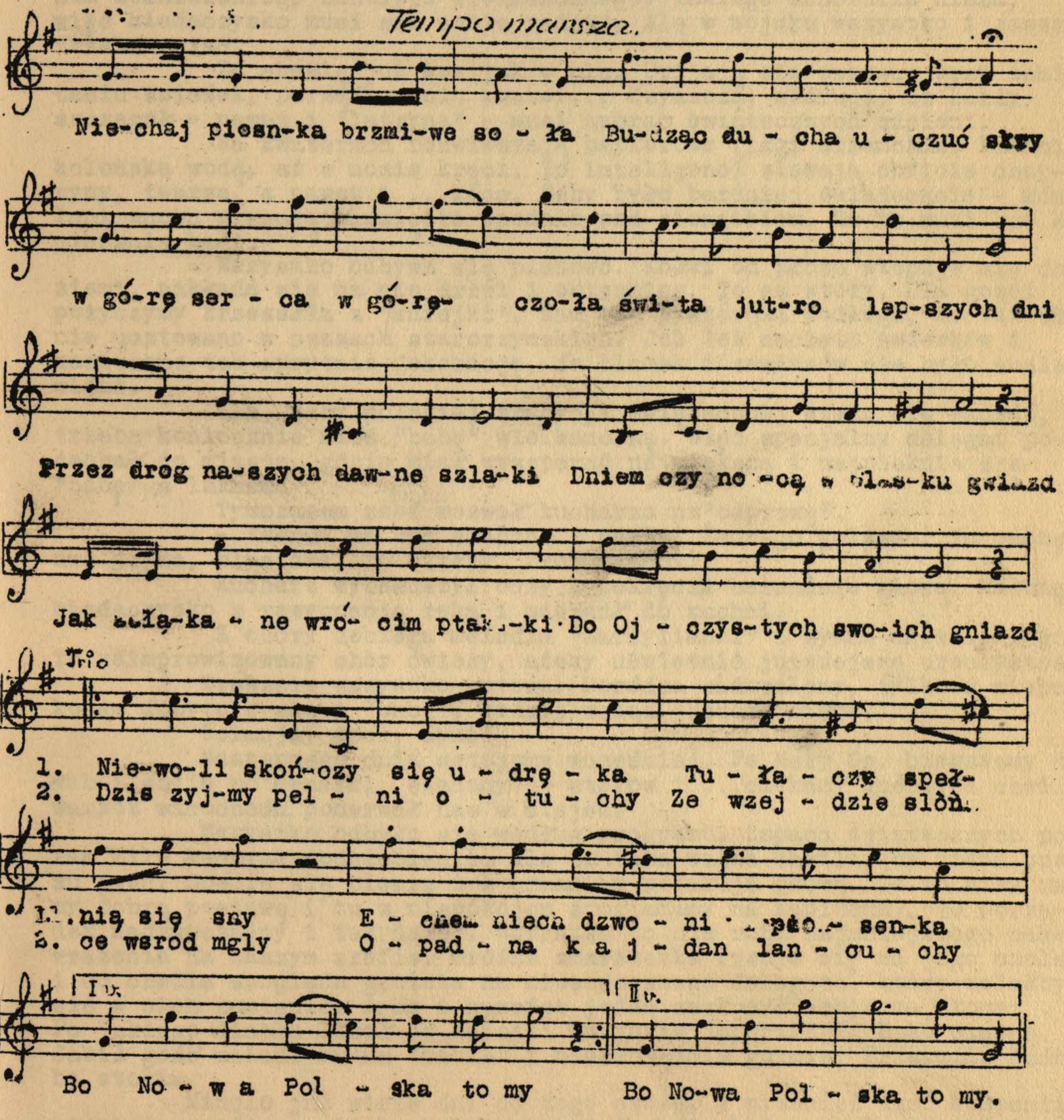
Do pracy maszerujemy już w tempie mniej szybkim, zwłaszcza na obiad. Na miejscu przystępujemy systematycznie i z sumiennością ludzi, którym zależy na jakości pracy, a nie na rekordowym pośpiechu. Okazuje się, że jesteśmy tak bardzo punktualni, że kiedy zarząd wzywa do przerwania pracy nie ma wypadku, żeby ktoś spóźnił się do wymarszu. Jest godzina 4.30. Nic też dziwnego, że tempo marszu jest równie rekordowe jak poranne. Okazuje się to niepotrzebne, bo na miejscu dowiadujemy się, że kolacja dopiero o szóstej. Żołądki buntują się przeciwko takiemu "okrucieństwu", ale wolą nastroju są jak nigdy. Jest wreszcie upragniona i oczekiwana kolacja. Smakuje bardzo i znika z szybkością, o jakiej nie mógłby nas posądzić, gdyby chciał ktoś zastosować na przysłowie: "Jest prędko ten, kto szybko przechodzi".

Po kolacji spacer, pisanie listów, trochę głośna, gramy w karty i ... myślimy. O 9.45 gaszą światła i zasypiamy się. Za ciężki sen. Noc mija szybko. Rano o 6-ej pobudka zrywa nas ze snu. O 7.10 już maszerujemy do pracy. Czasu do rozmyślań jest mało. To i lepiej. Czas wyczekiwania staje się niespostrzeżenie i nie pozwala na zbytnie częste refleksje o teraźniejszości.

M.W.

Nowa Polska.

Słowa F.Szelewickiego *** Melodia H.Müllera



A L I A N C I   I   B A B A ...

Zajęć dzisiaj niema! Dowódca kompanii rozkazał szefowi, żeby uporządkowano rejon kwater. Wszyscy mają być ogoleni, ostrzyżeni, elegancko ubrani i wogóle wszyscy i wszystko musi wyglądać, jak na obrazku.

- Urządzimy polską Wielkanoc - mówi kapitan - i żeby mi wszystko wypadło najlepiej! Będziemy mieli gości: generał, oficerowie angielscy i Francuzi.

- Rozkaz! - pręży się służbiście poczciwy szef i rozgląda się rozpaczliwie za kimś, ktoby go wybawił z trudnej sytuacji przygotowania żołnierskiego"bankietu"wielkanocnego. Takiego ochotnika niema, więc biedaczysko musi sam sobie radzić. Ale w wojsku wszystko i zawsze trzeba umieć.

Za chwilę już wre jak w ulu. Uwijają się wszyscy przy zamiataniu ścieżek, porządkowaniu kwater... Czyszczą, szorują, bo każdy szczegół - nawet i "latryna" - musi nabrać świątecznych odcieni.

Na kwaterach rozwieszają papierowe flagi alianckie. Pachnie kolońska wodą, aż w nosie kręci. To inteligenci zlewają obficie czupryny, twarze, a nawet i ...koce. Żeby było bardziej świątecznie - mówią. Inni znowu prasują zawzięcie spodnie pod siennikiem. Bo to musi być koniecznie kant.

Wszystko odbywa się planowo. Kołki od płotu wkopuje się do ziemi, nakłada się na nie drzwi i okiennice. To są stoły. Dla gości pożyczymy krzesełka z "kafejki". Nam tam wystarczą podłoga, bo tak właśnie ucztowano w czasach starorzymskich. Już też nacięto świerków i narzucono tak sprytnie dekorację, że klamek i zawiasów nie było wcale widać.

Ale, żeby polskiej tradycji świątecznej stało się zadość, trzeba koniecznie mieć "babę" wielkanocną. Więc specjalny delegat pojechał do miasta, gdzie miał wyszperać największą i najpiękniejszą "babę" z lukrem.

Tymczasem szef wezwał kucharza na"odprawę".

- "Menu" ma być smaczne i basta! Żadnego gulaszu! Na osobę dwa jajka, plus dwa, to cztery. Zrozumiano?!

Kucharz wybałuszyl oczy i pokręcił bezradnie głową. Machnął biedaczysko z rezygnacją ręką i odszedł do kuchni.

Z obory dobiega melodia "Marsylianki" i hymnu angielskiego. To zaimprowizowany chór ćwiczy, ażeby uświetnić jutrzejszą uroczystość.

Wreszcie wszystko gotowe! Dowódca zadowolony, tylko z niepokojem dopytuje się o "babę", której wciąż jeszcze niema.

Kolacja, apel, spać!

Następnego dnia wstajemy wcześniej. Po Mszy Św. biegniemy na łeb i szyję po menażki, siadamy do stołów i ...czekamy gości.Za chwilę warkot samochodu poderwał nas z miejsc.

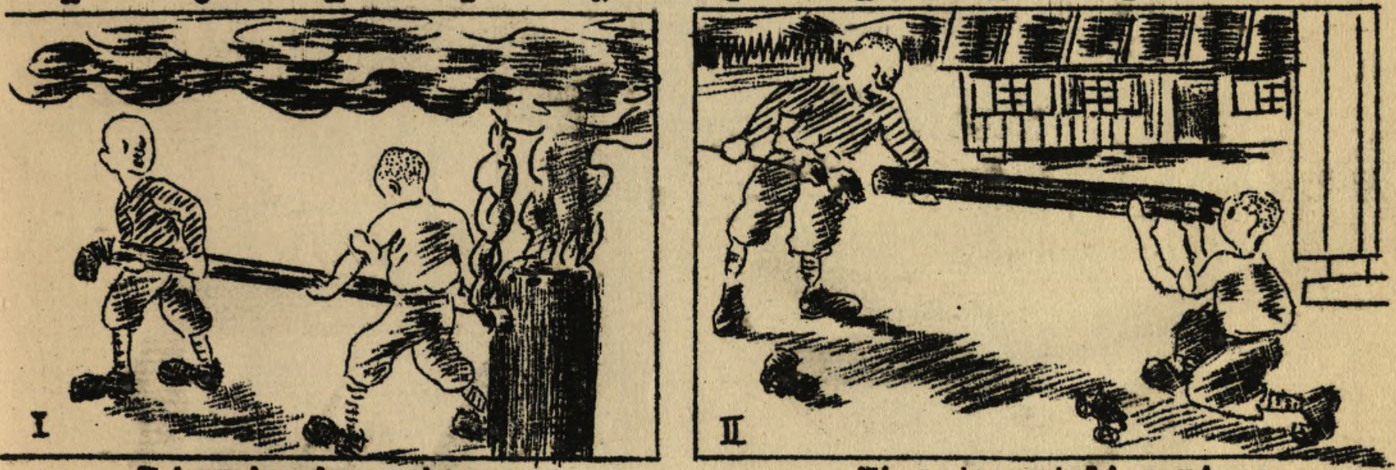
Wszystko odbyło się według programu. Zapach świątecznych potraw mile łechtał podniebienie, ale to taka ważna chwila, że niema czasu jeść. Goście się cieszą i z uznaniem potakują głową. Że to niby mamy dobrą postawę (tu z niepokojem spoglądamy na kapitana), że porządek nadzwyczajny i tak dalej. Wszystko to nie robi najmniejszego nawet wrażenia na naszym szefie. Groźna zmarszczka rysuje się na jego czole i co chwila spogląda groźnie na nieszczęsnego delegata, który wolałby się w ceheh zamienić. A bo i huncfot jeden zasłużył sobie na "koca" . Po jakiego diabła łaził do kafejki na jakiś "aperitif". Było ciasno. Jakiś gość usiadł mu na "babie" i nieszczęście gotowe. Przepadła ozdoba stołu.

Minęło już wiele dni od tego czasu, a przecież szef kompanii nie może zapomnąć widoku spłaszczonej "baby", która miała najgodniej uczcić naszych alianckich gości.-   F.S.

Pisanki Wuja Sama

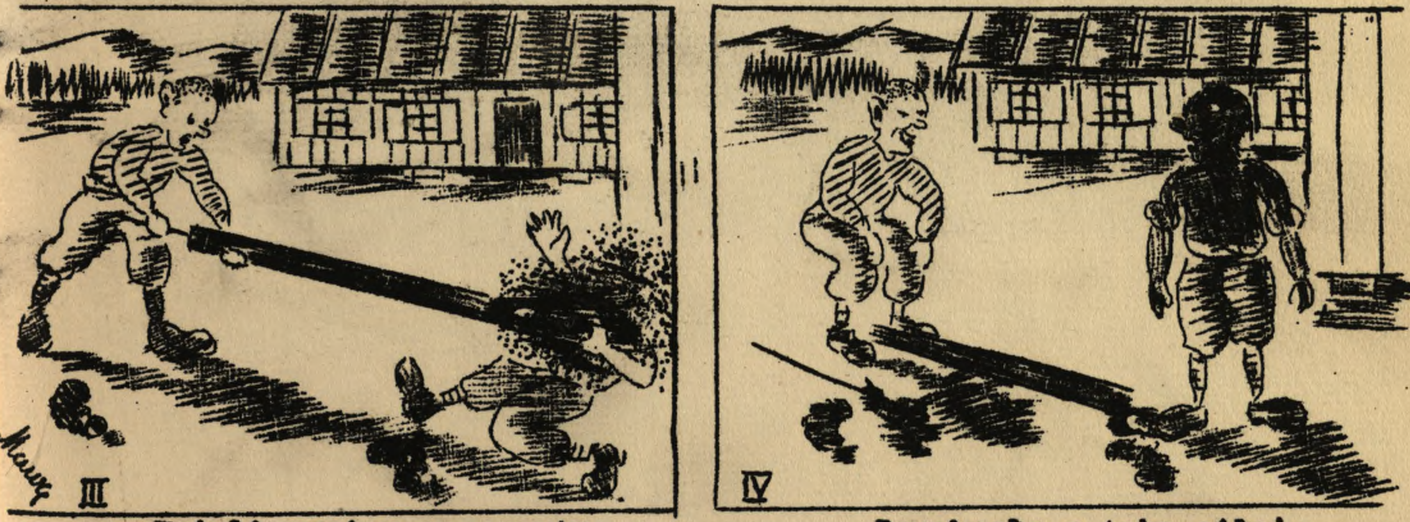


KOMINIARZE



W baraku dymu chmura
Oczy zachodzą łzami,
Znów się zapchała rura
popiołem i sadzami...

Więc ją wyjęli z pieca
By sprawdzić należycie,
Jaka to będzie heca!
To zaraz zobaczycie.



Wzięli wycior ze szmaty
Bo to najlepsza szczotka,
Ty pchaj jak do armaty
Ja spojrzę zaś do środka.

Dmuchnęło z taką siłą!
Jak po wystrzale z działa,
Nie trzeba zaglądać było
Ot! i historia cała...

F.S.

Dodatek świąteczny zawiera 2[illegible] strony tekstu i 24 rysunków
Wydano do n-ru 8 "Gazetki Obozowej" w Büren nad Aarą